

WSTĘP I PODZIĘKOWANIA

Któregoś jesiennego popołudnia, nudząc się bardzo i popijając szóstą herbatę z miodem, przeszukując Wattpada, natrafiłam na pewną książkę. Było to „Miasto Zmor”. Zaciekawiona opisem i prologiem zaczęłam czytać dalej. Czytałam do czwartej nad ranem, nie będąc w stanie przestać.

Po pewnym czasie naprawdę zainteresowałam się uniwersum opanowanego przez zmory Ignis. Nawiązałam także dobry kontakt z jego stworzycielką, Dravelią.

To opowiadanie jest moją wersją dalszych losów bohaterów „Miasta Zmor”. Bo książka Dravelii nie jest jeszcze skończona, a ona sama zapowiedziała kolejną część przygód Alexa, Thaniela i reszty ekipy z Podziemnego Ignis.

Chcę bardzo podziękować Autorce za pozwolenie na wykorzystanie jej utworu do tej pracy. Dziękuję również za wszystkie wytyczne i wskazówki przy pisaniu tego wszystkim Czytelniczkom tej książki.

Przed dostarczeniem na konkurs literacki zostanie ona opublikowana na portalu wattpad.pl.

PROLOG

Nazywam się Thaniel Fox. Mam dwadzieścia trzy lata. Dziś mija rok, od kiedy wziąłem siedemnastoletniego wówczas Alexandra Morningstara na ucznia.

Chłopak przekonał mnie do wysypiania się zamiast picia mikstur energetycznych — odpowiedników kawy w Podziemiu — i rysowania Znaków odpędzających zmęczenie.

Odkąd jestem jego mentorem i przewodnikiem po świecie Łowców, czuję się inaczej. Nie muszę już pić tylu eliksirów na ból psychiczny, żeby nie planować samobójstwa.

Znalazłem kogoś, kogo będę chronić za wszelką cenę i dbać, żeby nic nie groziło jego szczęściu. Zawsze i mimo wszystko. Mam wrażenie, że póki jest przy mnie, ja sam będę szczęśliwy.

Gdy przechodził „operację”, pewnego rodzaju Rytuał dla Łowców, nie mogłem spać. Gdzieś w głowie kołatała mi myśl, że jeśli coś pójdzie nie tak — a często tak właśnie bywało — to żadne eliksiry, żadna magia mi nie pomogą. Że to będzie koniec całego mojego świata.

Zdałem sobie sprawę, ile dla mnie znaczy ten niepozorny na pierwszy rzut oka szatyn o głębokich, zielonych oczach w kształcie migdałów.

I nie wiem, co zrobię, kiedy mi go zabraknie...

Zamknąłem notes, oprawiony w okładkę starego tomiska dla ochrony przed oczami niepowołanych, i odłożyłem pióro. Wziąłem jeszcze „Historię tworzenia i powstawania Znaków”, leżącą obok, i odstawiłem przedmioty na regał.

Usłyszałem pukanie do drzwi. To nie był Alex, rozpoznałbym jego charakterystyczny sposób zapowiadania swoich wizyt.

— Proszę! — zawołałem, wstając i pospiesznie naciągając koszulę na swoje ciało. Skrzywiłem się lekko, gdy mój wzrok prześlizgnął się po dwóch starych już, ciemnych Znakach na brzuchu.

Ktoś wpadł jak burza do mojego mieszkania.

— Kapitanie Fox! — wydyszał młody, może dwunastoletni chłopiec, podając mi wiadomość zwiniętą w rulonik i obwiązaną zieloną wstążką.

— Słyszę — powiedziałem, chwyciwszy przesyłkę. — Możesz odejść.

Chłopak szybko opuścił moje mieszkanie, a ja usiadłem przy stole, zamknąwszy za nim drzwi. Rozwiązałem i zacząłem czytać wiadomość. W miarę jak docierał do mnie sens napisanych słów, mój oddech przyspieszał.

— Nie... To nie może być...

~1~

Jak oparzony chwyciłem uprząż do manewru trójwymiarowego, część munduru Łowcy, którym jestem, i szybko zapiąłem wszystkie sprzączki. Jeśli zwołano Radę Podziemia w takim tempie i tak nagle, to sprawa musi być wyjątkowo poważna, zwłaszcza jeśli chodzi o *niego*.

Szybko nabazgrałem wiadomość do Alexa, żeby się o mnie nie martwił, i zostawiłem ją na stole, razem z liścikiem z pieczęcią Rady. Miałem nadzieję, że mój uczeń nie będzie się o mnie martwił. Chłopak był wyczulony na każdą zmianę mojego nastroju i zawsze próbował jakoś poprawić mi humor, kiedy nie czułem się najlepiej.

Gdy wyszedłem, zatrzasnąłem za sobą drzwi. Nie zwykłem zamykać ich na klucz, ponieważ na framudze znajdują się pewne Znaki, które uniemożliwiają osobom niepowołanym wtargnięcie i zdemolowanie mojej kwatery.

Miałem zamiar pobiec prosto na zebranie, lecz po drodze wpadłem na kogoś. A tym kimś okazał się dobrze znany mi osiemnastolatek. Chłopak, tak samo zresztą jak ja, był zaskoczony. Jego oczy i usta były szeroko otwarte, a brwi wysoko uniesione. Zupełnie nie spodziewałem się go tutaj.

— Alex! — wypaliłem. — Idę na zebranie Rady, nie martw się o mnie. Poczekaj w mieszkaniu, aż wrócę.

Popędziłem dalej, nie czekając na odpowiedź szatyna. Wybrałem najkrótszą trasę do położonego piętro niżej pomieszczenia Rady.

Po kilku minutach dotarłem do rzeźbionych, wierzbowych podwoi. Otworzyłem je i wszedłem do wielkiej sali. Na ścianach połyskiwały srebrem tysiące Znaków, między innymi wyciszających i ochronnych — w tym pomieszczeniu nie można było użyć broni. Zapobiegało to zabójstwom na obradach, bo jeśli chodzi o pewne sprawy, Łowcy potrafili zaciekle bronić swojego zdania. Salę zabezpieczono także przed zmorami.

— Dobrze, że jesteś, Thanielu — powiedziała przewodnicząca Rady na mój widok.

Skinąłem jej głową, choć średnio za nią przepadałem. Nakazywało mi to jednak prawo, do którego miałem obowiązek się stosować.

Usiadłem na przeznaczonym dla mnie miejscu przy okrągłym stole z wąską przerwą, która zazwyczaj służyła do wprowadzenia więźnia lub przesłuchiwanego do środka kręgu.

Gertrude Oaktree, przewodnicząca Rady Podziemia, usiadła na środku łukowatego stołu, naprzeciwko szczeliny między jego krawędziami. Była to nieprzeciętnie wysoka kobieta o krótkich, nierówno przyciętych i przypalonych na końcówkach fioletowych włosach i różowych oczach. Splotła palce przed sobą i powiodła po zebranych beznamiętnym wzrokiem.

Siedzieli już wszyscy, to ja przyszedłem ostatni.

— Wezwałam was, gdyż dostałam wiadomość, że zmory zachowują się dziwnie. Nie atakują ludzi i trzymają się blisko siebie. Nawet zazwyczaj rywalizujące gatunki nie walczą ze sobą nawzajem. — Przerwała na moment. — Dlatego kazałam kogoś przyprowadzić. Kogoś, kto może nam to wszystko wyjaśnić.

Drzwi naprzeciwko Gertrude, wychodzące dokładnie na przerwę w okrągłym stole, otworzyły się z hukiem. Do sali wprowadzono zakutego w kajdany chudego, wysokiego siedemnastolatka. Szare włosy opadały na równie szare oczy, a policzki były jeszcze bardziej zapadnięte niż zwykle. Mimo swojego położenia chłopak trzymał głowę wysoko, a w jego spojrzeniu nie doszukałem się strachu.

Zachary. Wiedziałem, że go tu spotkam. Gdyby nie on, nie musiałbym tu biec. Po sali przeszły szmery. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie dość, że skuty, to jeszcze wyglądał na skazańca. Chociaż... tłumaczyć ten widok mógłby spór, który już pod wielu wieków dzieli Łowców i osoby z rodu Bonesów.

Gertrude spojrzała na niego zimno. Ręce miała splecione na blacie stołu, a na jej twarzy nie widać było uczuć. Zawsze miała ten sam, władczy ton, wiecznie zimny i nieprzystępny, wiecznie wyprany z uczuć, pusty.

— I co, Bones? Nadal zostajesz przy tym, żeby nic nam nie zdradzać? Wystarczy, że wytłumaczysz nam to zachowanie zmor. To nic trudnego.

Zachary milczał, bynajmniej nie z nieśmiałości czy strachu. On po prostu twardo stał na swoim. Ta cisza trwała kilka minut.

— Doprawdy, Zachary, nie wiem, czy cię podziwiać za niezłomność, czy współczuć głupoty.

— Także tego nie wiem — odezwał się w końcu więzień.

— Wiesz, co będzie, jeśli nic nam nie powiesz? — spytała, patrząc w oczy nastolatka. — Zostaniesz skazany za odmowę pomocy Łowcom. Czeka cię śmierć.

— Doprowadziliście do samobójstw mojej siostry, matki, ojca, wuja i ciotki — powiedział Bones, patrząc Gertrude prosto w oczy. — Woleli umrzeć niż zdradzić wam tajemnicę rodu. — Milczał przez chwilę, jakby układając nowe zdanie. — Myślicie, że zastraszony procesem i wyrokiem śmierci cokolwiek wam powiem? Nawet z rozkoszą pójdę na śmierć, by dołączyć do rodziny.

Siedemnastolatek poruszył rękami w kajdanach, które ledwo skuwały jego chorobliwie chude nadgarstki. Podwinął rękaw wiszącej luźno na jego ciele koszuli, ukazując przedramię. Było na nim pełno długich blizn i jeszcze niewyleczonych, głębokich ran.

— Już dawno straciłem nadzieję, że się stąd wyrwę. Naprawdę nie będę żałował swojej śmierci. I gratuluję podejścia — powiedział zjadliwie, z doskonale słyszalną nienawiścią w głosie. — Wygląda na to, że tajemnica mojego rodu umrze razem ze mną.

— Bzdury! Muszą być inni Bonesowie!

— Nie ma. Jestem ostatnim. — Zachary opuścił rękaw i ręce swobodnie, o ile do „swobodnie” można zaliczyć to, kiedy ma się skute nadgarstki. Głowę miał wysoko, a minę obojętną. Jakby pogodził się ze swoją śmiercią.

— Myślisz, dzieciaku, że takie puste słowa zrobią na mnie jakiegokolwiek wrażenie?! — wybuchła Gertrude.

Nie odezwał się.

— Myślę, że to nie są puste słowa, Gertrude — odezwałem się po dłuższej chwili ciszy. — Byłem dowódcą jego grupy treningowej. Nie odzywał się, jeśli nie było to absolutnie konieczne. A kiedy już coś mówił, pewne było, że nie kłamie. Dlatego wątpię, żeby teraz oszukiwał.

— Może masz rację, Thanielu, ale potrzebujemy tych informacji. I musimy je zdobyć. Za wszelką cenę — odparła zimno kobieta.

Strażnik cisnął Zacharego prosto na podłogę, zmuszając go do klęku.

— Zabijcie mnie, jeśli chcecie — powiedział chłopak. Wciąż patrzył prosto w oczy Gertrude. — I tak niczego się nie dowiecie.

— Powiesz nam wszystko, powiesz... Ja już o to zadbam.

Zachary milczał. Nie spuścił wzroku mimo przesywającego na wskroś spojrzenia Oaktree.

— Jestem pod wrażeniem, Zachary Bonesie. Niewielu wytrzymuje w takich warunkach bez krzty strachu czy chociażby niepokoju. A powinieneś się bać.

— Dlaczego nic nie mówisz, smarkaczu?! — wrzasnął jeden z obecnych na sali mężczyzn.

— Nie wybrałem sobie rodziny, w której się urodziłem, ale do niej należę. I nie zdradzę żadnej z jej tajemnic. Nawet jeśli przyjdzie mi za to umrzeć.

— Zobaczymy, Bones, zobaczymy...

Gertrude wykonała charakterystyczny gest szybkiego przekręcenia i zgięcia palców swojej opalonej prawej dłoni. Na ten znak Zachary został powalony i przyciśnięty przez strażnika kolanem do chropowatej, kamiennej podłogi.

Skrzywiłem się. Bardzo nie lubiłem brutalności stosowanej na przesłuchaniach i procesach. Niestety nie miałem nic do powiedzenia.

— To jak? Powiesz nam, dlaczego zmory zachowują się inaczej niż zwykle? — Kiedy Zachary się nie odezwał, dodała: — Wtedy może cię oszczędzimy.

Szarowłosa wciąż milczał. Rozluźnił mięśnie szyi i pozwolił swojej głowie bezwładnie opaść na podłogę.

— Jestem naprawdę pod wrażeniem tego chłopaka — szepnęła do mnie rudowłosa, czterdziestoletnia Venia Blue. — W tym momencie każdy się łamie i błaga o litość. A on? On stoi na swoim, mimo przegranej pozycji. Nie poddaje się jej. Grozi mu proces i śmierć, a on nic!

— Zmuszę cię do gadania! — krzyknęła Oaktree.

Leżący na podłodze chłopak zamknął oczy.

— Nie cackaj się z nim, Gertrude! Widzisz, że on sobie z ciebie kpi!

— Masz rację, Orionie.

Ruch jej poharatanej dłoni w górę zakomunikował, żeby podnieść Zacharego. Strażnik brutalnie podciągnął więźnia do pionu. Chłopak otworzył oczy na ten nagły ruch.

— Szykuj się na proces, Zachary Bonesie.

Siedemnastolatek stał, jak stał wcześniej, zupełnie niewzruszony wiszącym nad nim widmem śmierci.

— Albo nie. Proces przeprowadzę natychmiast.

Właśnie wtedy drzwi do sali otworzyły się z hukiem.

A w nich pojawiła osoba, której za nic w świecie bym się nie spodziewał.

~2~

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi. Stał w nich mojego wzrostu szatyn o zielonych oczach. Twarz osiemnastoletniego chłopaka była jasna i rumiana, choć teraz wykrzywiona grymasem strachu. Miał na sobie wygniecioną, ciemnozieloną koszulę i spodnie z dużymi kieszeniami po zewnętrznych stronach kolan. Na jego nogach były również wysokie oficerki, których sznurówki płątały mu się koło stóp, zawiązane na szybko. Przez materiały widać było zarysy mięśni.

— Zachary! — krzyknął.

Gertrude przywołała gestem strażników z końca sali.

— Idź, Alex! Mnie już nic nie pomoże! Uciekaj! — wołał rozpaczliwie Bones.

Spojrzałem na Zacharego. W jego szarych oczach błyszcząły łzy. Zawsze perfekcyjnie ukrywał uczucia, a teraz? Naprawdę wiele musiało się dziać w jego sercu, umyśle i całym jego ciele, skoro teraz nie potrafił zapanować nad odruchami.

— Widzę, że on dużo dla ciebie znaczy... Doskonale. Brać go — rozkazała przewodnicząca Rady.

Łowcy chwycili Alexa za ramiona. Szarpał się, próbując uwolnić, lecz to nie przyniosło żadnych efektów prócz mocniejszego uścisku mężczyzn.

Poczułem, że łzy mi się cisną do oczu. Odwróciłem głowę, żeby nikt nie widział słonych kropli, obficie zdobiących moje policzki.

— Zobaczymy, co teraz nam wyśpiewasz, Bones — zwróciła się do szarowłosego Gertrude.

— On jest niewinny! — zaprotestował Zachary, a Oaktree spojrzała na niego zimno. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale ręce mu drżały; bał się o Alexa. On naprawdę musiał być dla Zacharego kimś ważnym.

— Powiedziałam, że musimy zdobyć informacje za wszelką cenę. A jeden niedoświadczony Łowca nie jest wiele wart.

Chciałem krzyknąć z rozpacz, gdy zrozumiałem sens jej słów. Chciała go zabić. Mojego ucznia. Mojego Alexa, z którym tyle przeszedłem, mojego przyjaciela, mojego troskliwego opiekuna... Mój sens życia... Chciała mi go po prostu zabrać.

Nagle wszyscy odwrócili się w moją stronę. Dotarło do mnie, że ja nie „chciałem krzyknąć”, a „krzyknąłem”...

— Coś się stało? — zapytała mnie Venia.

— Alex... Alex to mój uczeń...

— Co się tak przejmujesz, Fox? — zapytał obojętnie Joshua Blow, niski trzydziestolatek o białych włosach i czarnych jak węgiel oczach. — Swoim uczniem przestałem się interesować, gdy tylko ukończył szkolenie. I jakoś Patrick nie czuje się z tego powodu skrzywdzony.

Z moich oczu strugami kapały łzy. Alex... Mój mały Alex...

Szatyna zaprowadzono przed oblicze bezlitosnej Gertrude Oaktree. Stęknął, gdy rzucono nim tuż pod nogi fioletowowłosej kobiety.

— A może ty coś wiesz, skoro tyle znaczysz dla obecnego tu Zacharego Bonesa, co?

— Może wiem... Ale i tak niczego wam nie powiem — powiedział zdecydowanie.

Zakryłem sobie usta, żeby nie wywrzeszczeć czegoś, czego będę później żałował, ale nie próbowałem ukrywać łez. Mój uczeń, mój Alex... Mój Aleksiu może nie dożyć jutra. Coś we mnie pękło.

— Przepraszam, Thaniel... Ale nie mogę. Obiecałem to Zacharemu. Jeśli grozi mi śmierć za milczenie, to będę musiał umrzeć.

Odsłoniłem swoje usta. Byłem kompletnie blady; nie wiedziałem co robić. Bałem się o niego. Przecież coś mu obiecałem... Że będę się o niego troszczył... Mój oddech stał się urywany. W mokrych od łez, które spływały już teraz swobodnie po policzkach, oczach pojawiały się srebrne plamki. Była to część przemiany w drugą formę Łowcy, która zachodziła podczas walki lub odczuwania silnych emocji. A całym moim ciałem targał teraz bezbrzeżny smutek.

— Alex... Alex, nie... — wyszeptałem.

— Czyli, jak rozumiem, nic nie powiesz, Morningstar?

— Nie — odparł krótko.

— A więc jest mi to chwilowo na rękę. Mam podstawy, żeby cię skazać.

— Gertrude, nie... — zaprotestowałem.

— Milcz, Fox! Nie masz tu nic do powiedzenia. Łowcy muszą mieć te informacje, a to czasem wymaga poświęceń. Musisz poświęcić swojego ucznia, bardzo mi przykro. — Po jej kpiącym uśmiechu widać było, że wcale nie jest jej przykro. Wręcz przeciwnie, jakby rozkoszowała się moim bólem psychicznym. — Informacje wymagają poświęceń, wiedza wymaga ofiar.

To zdanie powtarzała na każdej rozprawie tuż przed ogłoszeniem wyroku...

Nie, nie, nie, NIE!

— Dlatego skazuję cię, Alexandrze Morningstar, na śmierć przez wykrwawienie za odmowę udzielenia informacji Radzie Podziemia.

To musi być sen! Zaraz obudzę się w swoim łóżku, z Alexem obok... I wszystko będzie jak dawniej. To sen, to sen... Alex będzie mnie pocieszał, mówił, że to tylko zły sen, tylko koszmar...

Nie powstrzymałem się. Wrzasnąłem z rozpacz. Mój głos przeszył powietrze w sali i odbił się echem od jej ścian. Dlaczego musi tak być?! Dlaczego nie mogę nic zrobić?! Łzy spływały po mojej twarzy i paliły ją; z policzków kapały na prawie przemoczoną już koszulę.

Wtedy przypomniałem sobie o pewnym prawie. Prawie, z którego praktycznie nikt nigdy nie skorzystał.

Wstałem.

— Paragraf ósmy prawa trzynastego. Chcę przejąć na siebie wyrok skazanego Alexandra Morningstara — powiedziałem pewnie.

— Zabraniam! — wrzasnęła Gertrude.

— Jako członek Rady Podziemia mam prawo przejąć wyrok dowolnej osoby na siebie.

— Thaniel... — wyszeptał Alex. — Thaniel, nie...

— Nie pozwalam ci przejąć jego wyroku — powiedziała twardo przewodnicząca Radzie kobieta. — Jesteś jednym z najlepszych Łowców, a Znaków stworzyłeś więcej niż ktokolwiek inny! Dlatego nie mogę się zgodzić, żebyś wymienił swoje życie za istnienie jakiegoś początkującego smarkacza!

Alex został uderzony w ramię. Krzyknął, a w moich oczach wezbrało jeszcze więcej łez. Bolał mnie jego ból. Mógłbym dla tego niepozornego chłopaka zrobić wszystko. Wszystko. Cieszyłem się z jego radości i płakałem, gdy był smutny. Teraz miałem ochotę pobiec do chłopaka i otulić go ramionami; nigdy więcej nie pozwolić, by ktoś kiedykolwiek go skrzywdził...

— Przygotujcie salę sześćdziesiąt sześć C, tę przeznaczoną do bolesnych egzekucji. Zaprowadźcie tam tych dwóch — rozkazała, wskazując Alexa i Zacharego. — Wkrótce wyśpiewają wszystko, co chcę wiedzieć.

Strażnicy skinęli głowami. Gertrude wyszła z pomieszczenia, trzaskając wierzbowymi drzwiami.

Nie myśląc o konsekwencjach, podjąłem decyzję w ułamku sekundy i podbiegłem do Alexa. Zamknąłem go w swoich ramionach. Zaskoczeni Łowcy puścili go. Mój uczeń wtulił się we mnie, moczając moją koszulę swoimi łzami.

— T-thaniel... — wyszeptał wprost do mojego ucha. — Ja nie chcę umierać... Ale to jedyne wyjście. Chciałbym być przy tobie każdego dnia... Ale to niemożliwe. Nie mogę nic im zdradzić. Nie chcę. A jeśli oni mają zamiar mnie za to zabić, to niech zginę.

— Aleksiu... — powiedziałem zapłakany — ja bez ciebie nie wytrzymam psychicznie... Jesteś częścią mojego życia. Ważną częścią. Trzymasz mnie w kupie, gdy wszystko jest nie tak.

Moje łzy kapały na jego plecy. Każda błyszczała srebrzyście w locie.

— Właśnie dlatego nienawidzę Łowców — odezwał się Zachary. — Niszczą i zabijają dlatego, że potrzebują informacji. A gdyby potrafili myśleć, już dawno by się zorientowali, co się święci. Ale przecież łatwiej jest zmusić do gadania tych, którzy domyślili się wcześniej.

Nagle mnie olśniło. Jest tylko jedna rzecz, która może tłumaczyć takie zachowanie zmor...

— Pomogę wam uciec — wyszeptałem tak cicho, że jedynie Alex i Zachary mnie usłyszeli.

— Nie wierzę ci — powiedział ledwo słyszalnie wyższy. — Udajesz, bo myślisz, że w geście wdzięczności wszystko ci powiemy.

— Nie chcę nic wiedzieć. Chcę po prostu uratować niewinnych.

— Jeśli ktoś się dowie, grozi ci śmierć. Nikt tak nie ceni życia innych. Wszyscy dbają o tylko swoje.

Pokręciłem głową.

— Oddałbym swoje życie za szczęście Alexa.

— I tu jest problem — stwierdził szatyn. — Bo ty stanowisz jego fundament.

Wtulilem go w siebie. Jego łkania tłumila moja koszula. Słone łzy siedemnastoletniego Morningstara wsiąkały w i tak już mokry materiał. Jego ciałem wstrząsały dreszcze.

Na samą myśl, że to serce, które kołacze teraz niesamowicie szybko w jego piersi, to serce, które czuję tuż przy swoim... Że to serce wkrótce zabije ostatni raz, a jego właściciel zgaśnie, umrze... Na samą myśl o tym... odechciewa mi się żyć. Nie mogę sobie wyobrazić życia, w którym nie będę słyszał tego dźwięku, tak uspokajającego...

— Będę przy tobie do końca. Obiecuję — wyszeptałem prosto w jego ucho.

— Dlaczego? Dlaczego to robisz, Thanielu Foksie? — zapytał Zachary cichym, chrapliwym głosem, patrząc na nas.

Dobra, teraz albo nigdy. Tak się bałem... To był jeszcze inny strach niż ten przed śmiercią. Bałem się, że zielone oczy, w które tak lubiłem patrzeć... Że zamkną się na zawsze, nie patrząc na mnie nigdy więcej tak, jak patrzyły choćby tydzień temu. Z taką troską, poczuciem bezpieczeństwa... Wiara, że będę go bronił... Taką nadzieją... Wahałem się, ale... jeśli teraz mu tego nie powiem, już nigdy tego nie zrobię.

Odsunąłem chłopaka kawałek od siebie. Tak, żeby móc spojrzeć w jego oczy. Teraz to ja patrzyłem w nie z ufnością. Ufałem, miałem nadzieję, że nie każe mi tak po prostu odejść...

— Bo jest dla mnie całym światem. — Odetchnąłem głęboko, ważąc słowa. — Bo go kocham.

~3~

Spodziewałem się wybuchu złości i nienawiści, tego, że odrzuci mnie na drugi koniec pomieszczenia, że wykrzyczy mi w twarz, że mam odejść, ale nic takiego nie nastąpiło. Alex jedynie przyciągnął mnie mocno do siebie. Na jego ustach pojawił się ledwo widoczny uśmiech. W jego oczach była nadzieja i niema prośba. Objąłem go mocno i przytuliłem do serca. Zastygliśmy w bezruchu, chłonąc siebie nawzajem.

— Nie puszczaj mnie nigdy... — poprosił cicho. Alex wtulił się we mnie. Czułem jego twarz na swojej szyi.

— Nie puszczę. I nikt mnie do tego nie zmusi.

— A jeśli ci każą? Jeśli mnie zabiją?

— Wtedy zginę razem z tobą. Jesteś sensem mojego życia. A skoro cię skazali... Skoro do tego dopuściłem, to zawałem. Przysiągłem cię chronić... I nie ochroniłem.

Alex uwiesił mi ręce na szyi.

— Nieważne, że zawałem. Ważne, że jesteś przy mnie... — szepnął.

Strażnik brutalnie złapał mnie za kark. Żelazny uścisk sprawił, że krzyknąłem. Łowca usiłował odzepić mnie od szatyna.

Objąłem Alexa mocniej, wpatrując się w jego zielone oczy. Były piękne jak zawsze, choć teraz pełne łez. Nasze twarze dzieliły centymetry, czułem jego szybki, płytki oddech na swoich ustach.

— Aleksiu... Gdziekolwiek trafimy, zawsze będziesz tutaj. — Chwyciłem delikatnie jego rękę i położyłem ją sobie na piersi. — Tu zawsze będzie miejsce tylko dla ciebie.

— Och... Słodziutko... — stwierdziła ochrypłym głosem Gertrude tuż za moimi plecami. — Szkoda, że tego chłopaczka czeka śmierć. Bolesna śmierć... Ale cóż, sam jest sobie winien.

— Gertrude... Jeśli nie mogę umrzeć za niego, to daj mi umrzeć razem z nim. — Nie mogłem opanować drżącego głosu.

Bąłem się. O Alexa, o siebie... Co ja bez niego będę miał? Żyłem dla niego. Żeby go bronić. Żeby być przy nim zawsze, gdy tego zapagnie... Żeby go pocieszać i ocierać jego łzy. A teraz nagle nie umiałem go pocieszyć. Nie umiałem kłamać. Sam ledwo się nie załamałem. Nie mogę dopuścić, żeby mój Alex był sam. Nigdy na to nie pozwolę. Nigdy nie dopuszczę, żeby czuł się sam. Opuuszczony.

— Nie, Fox.

Z moich oczu popłynęły łzy. Jak może to robić? Jak może być tak bezwzględna i okrutna? Jak może ignorować wszystko, co jest ważne dla innych? Po co? Żeby zdobyć coś, czego mogła się domyślić.

— To pozwól mi chociaż być przy nim...

— Nie. Będziesz patrzył, ale nie wolno ci będzie go wspierać. Wtedy powie, co chcemy wiedzieć. Co potrzebujemy wiedzieć.

Przycisnąłem ciało ucznia do siebie. Nie mogę do tego dopuścić!

— Gertrude... Nie rób mi tego... — załkałem. — Pozwól mi trzymać go za rękę... Proszę.

Alex płakał bezgłośnie w moje ramię. Przytrzymałem go przy swojej piersi, jakbym trzymał w rękach całe swoje popękane serce i usiłował je skleić. Przytrzymać w całości...

To nie całkiem mijalo się z prawdą.

— Nie. Nie wolno ci okazać mu żadnego wsparcia. On musi nam powiedzieć, czego chcemy.

— Gertrude. — Wstałem, trzymając Alexa przy sercu. Trzymałem go pod kolanami i plecami jak księżniczkę. — Alex wziął wszystkie kawałeczki mojego serca i każdym swoim czynem powoli je sklejał... I zostawił w nim siebie... Nie zabieraj mi go... Błagam...

— Milcz, Fox! — krzyknęła na mnie.

— Nie karz go za to, że nie chciał powiedzieć ci czegoś, czego już dawno powinnaś się domyślić.

— Grabisz sobie — zaskrzeczała ostrzegawczym tonem.

— Nie obchodzi mnie to. Taka jest prawda.

— Wyroku nie można cofnąć, kochanieńki. — Cmoknęła i uśmiechnęła się wrednie. — Bardzo mi przykro.

— W takim razie mnie również jest przykro — powiedziałem, tuląc Alexa. — Bo będziesz musiała pożegnać się z „jednym z najlepszych Łowców”, jak to wcześniej ujęłaś.

— Zabraniam ci! — Nagle jej ton stał się władczy. Taki, którego ciężko nie posłuchać. Była też jakby... Zdenerwowana?

— Nic mi nie możesz zrobić.

— Mogę zaostrzyć wyrok Morningstara!

Alex pisnął przerażony i przytulił się do mnie mocno. Czuję, jak jego paznokcie wbijają się w skórę na moich ramionach i w pierś przez koszulkę. Jak okrutnym trzeba być, by skrzywdzić taką bezbronną istotkę?

— Właśnie nie możesz. Jeśli zaproponowałem wymianę żyć, to nie możesz zaostrzyć kary. Takie jest prawo.

Wsunąłem dłoń pod koszulkę na plecach Alexa.

Palcami rysowałem Znaki na jego skórze. Mocno kłuło mnie w sercu i całym ciele, ale nie przejąłem się tym. Twarz Alexa zwilgotniała przez łzy. On też to czuł.

— C-co ty robisz?

— Łączę swoje życie z twoim — odparłem. — Jeśli umrzesz, ja też umrę. Mogę też przekazać ci swoją energię życiową. Jeśli będziesz o krok od śmierci, będę mógł oddać ci życie. I to dosłownie.

— Thaniel...

— Nie mogę całego, bo wtedy umrę. A ze mną umrzesz ty i... To by nie miało sensu... — wyszeptalem w jego usta. — Natomiast mógłbym ci oddać wiele. Prawie wszystko. Osłabnę... Ale wolę być przez jakiś czas słaby niż pozwolić ci umrzeć.

— To boli... Serce... Boli...

— Wiem. Mnie też. Zaraz przestanie. — Rysowałem już ostatnie symbole, w tym nasze imiona i nazwiska w języku Znaków.

— T-thaniel... Ja... Ja jestem skazańcem. Umrę nie później niż za dwa dni. Dlaczego to robisz? Dlaczego złączyłeś swoje życie z moim, skoro za chwilę zostanę stracony? — pytał ze łzami w oczach.

Jego spojrzenie wyrażało ogromny ból. Nie potrafiłem uwierzyć, że to te same oczy, które śmiały się jeszcze kilka dni temu. Nawet jeszcze wczoraj. Nie mogłem uwierzyć. Nie chciałem. Że w tych samych oczach potrafi kryć się tyle uczuć...

— Bo cię kocham, Aleksiu. Jesteś moim największym szczęściem. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Dlatego wolę umrzeć niż żyć sam.

Objąłem go mocno; chłopak wbił paznokcie w moje plecy.

— Obiecałem sobie kiedyś, dawno temu, że jeśli kogoś pokocham... Tak, że byłbym w stanie oddać życie za niego... Prawdziwie. Tak jak w twoim przypadku, Aleksiu. Obiecałem sobie wtedy, że gdy znajdę... Wtedy jeszcze bliżej nieokreśloną osobę, narysuję jej te Znaki. Połączę nasze życia. Tą osobą jesteś ty. Teraz to wiem i widzę wyraźnie. Te symbole rysowałem pierwszy raz.

Szatyn wtulił się we mnie i doprowadził do dość obfitego krwawienia, wbijając paznokcie **głębiej** w moje ciało. Był przerażony. A ostry głos Gertrude straszyl go jeszcze bardziej. Nie dziwiłem mu się.

— Jak śmiałeś?! Wymuszasz na mnie anulowanie wyroku!

— Nic nie wymuszam. Jeśli chcesz go zabić, to zabij, ale ja zginę razem z nim. Trzymając go za rękę. — Odnalazłem dłoń Alexa i złapałem ją, skończywszy rysować łączące nasze istnienia Znaki. — Nie pozwolę sobie tego zabronić.

— A ja ci zabraniam! — Odwróciła się i przez ramię rzuciła rozkaz do strażników: — Obezwładnić go!

Łowcy ruszyli w moją stronę. Czuję się jak osaczone zwierzę. Alex pisał przerażony i próbował jakoś ukryć się w moich ramionach.

Zacząłem się cofać.

— Zostawcie ich — powiedział Zachary; jego oczy błyszczały od łez, które powstrzymywał chyba ostatkiem woli. — Powiem wam to, co chcecie ze mnie wycisnąć, chociaż myślałem, że potraficie używać mózgów. Powiem wam, tylko ich zostawcie. Proszę... — Pod koniec głos mu się załamał. Z jego oczu wypłynęły słone krople.

Został uderzony w twarz.

— Jak śmiesz nam rozkazywać?!

Ktoś odciągnął moje ręce za plecy. Krzyknąłem, bo Alex spadł na podłogę, gdy już nie mogłem podtrzymywać jego ciała.

— Alex! — Zachary ewidentnie chciał rzucić się pod Alexa i go złapać, ale nie mógł; był skuty.

Osiemnastolatek upadł tuż pod moje stopy z okrzykiem bólu. Jego ręka była nienaturalnie wygięta. Nic nie mogłem zrobić. Nowe łzy spłynęły mi po policzkach.

— Przepraszam, Alex... Tak cię przepraszam... — łkałem.

Skuto mi dłonie i łokcie za plecami. Z oczu leciały mi łzy. Szarpałem się, choć nie miałem nadziei na uwolnienie.

— Masz usunąć te Znaki Morningstarowi. Już! — nakazała Oaktree.

— Nie.

— Jak śmiesz?!

— Nie zamierzam być już na każdy twój rozkaz.

— Musisz!

— Bo co? Bo mnie zabijesz? — W moim głosie ledwo było słycać kpinę.

— To niesubordynacja!

— Jesteś tyranką, Gertrude. Nie powinnaś przewodniczyć Radzie. Karasz wszystkich i za wszystko. Jak tylko coś ci nie pasuje, skazujesz na śmierć każdego jak leci. Skazujesz za nic. Wyciskasz z innych oczywiste fakty podczas tortur.

Wściekła moją mową Gertrude dała mi w twarz. Moja głowa odskoczyła w prawo. Gdybym nie miał skutych rąk, zapewne bym jej oddał. Jak można być tak okrutnym człowiekiem?! Czy ona jeszcze w ogóle nim jest? Czy już wyzbyła się ostatnich człowieczeństwa i moralności?

— Zabrać go razem z tą dwójką! Niech będą w trzech kątach pokoju! — wrzasnęła.

Zaciągnięto nas do trójkątnej sali z mnóstwem narzędzi tortur. Zostałem przykuty plecami do ściany metr nad kamienistą podłogą tak jak Alex.

— Alex... — szeptałem imię chłopaka, by dodać sobie otuchy.

Płakałem, gdy noże wbijały się w jego ciało i krzychałem, gdy przesywały moje. Nie wiedziałem, ile to trwało, ale cierpielśmy długo.

— Zostawcie... ich... — dyszał Bones. Syczał, ale nie krzychał z bólu. — W-wytlumaczę wam to zachowanie zmor, tylko ich zostawcie! — wrzeszczał zrozpaczony szarowłoso.

Spojrzałem na niego. Twarz miał mokrą od potu, ciało zmasakrowane. Nawet gorzej niż ja i Alex razem wzięci. Koszula w strzępach leżała na podłodze u stóp jego katów. Pierś szpeciły długie pręgi od bicia, na plecach głębokie cięcia. Spodnie splamiła jego krew, a skóra była bledsza niż zazwyczaj. Dotarło do mnie, co się działo. Wykrwawiał się. Umierał. W pionie trzymały go tylko kajdany na rękach zaczepione o sufit.

— Błagam... Zostawcie... ich... Proszę... — dyszał ciężko Zachary. Włosy koloru popiołu kleiły mu się do głowy.

Oberwałem jeszcze raz po brzuchu, a potem upadłem bezwładnie na podłogę, gdy zniknęły więzy. Byłem wykończony. Na moich plecach powycinano wzorki, a gdzieś tam brakowało fragmentów skóry. Moje ciało było posiniaczone i całe czerwone od krwi. Z koszuli zostały tylko jakieś strzępy przylegające do ran. Reszta leżała na podłodze w kawałkach. Z trudem się podniosłem; musiałem oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

Usłyszałem stęknienie Alexa. Także upadł. Spojrzałem w jego stronę. Był w lepszym stanie niż ja. Miał kilka ran klutych i parę płytkich cięć. Ponadto kilka siniaków na żebrach i ledwo widoczną fioletową pręgę na szyi.

— No, a teraz gadaj, Bones. Wypuścimy tamtych dwóch.

Zachary spojrzał mu w oczy bez strachu.

— To oznacza wojnę, Łowco.

Kaci wyszli z pomieszczenia.

— Ha! Mówiłem, że wyśpiewa!

Alex podbiegł do Zacharego; spojrzał w jego wymęczone bólem szare oczy.

— Mam mało czasu, Alex. Słuchaj uważnie, bo nie wiem, czy dam radę powtórzyć.

— Zachary... Nie...

— Alex, zaopiekuj się rodziną. Znajdź mój dom za Murem i zabierz tam wszystkich. W razie czego ciocia Vittoria wskaże ci drogę. Poproś ją, żeby opowiedziała ci o Bonesach. Zrób to, proszę.

— Zrobię. Przysięgam.

— Thanielu... Podejź, proszę.

Podszedłem do słabnącego młodzieńca nieco niepewnie. Ledwo trzymałem się na nogach. Gdy znalazłem się bliżej szarowłosego, dostrzegłem, że z ran wciąż tryska ciemnoczerwona krew. Na jego ciele nie było całych płatów skóry. Jak można w ten sposób traktować człowieka...?

— Słucham, Zachary.

— Broń Alexa. Chroń go. Tak jak dziś to pokazałeś. Ceń go.

— Alex jest dla mnie najważniejszy i najcenniejszy na świecie. Nie dam nikomu go skrzywdzić. — Złapałem Alexa za rękę.

— Jeszcze jedno. Jesteś jedynym Łowcą, którego mógłbym obdarzyć zaufaniem. Dlatego chcę ci coś dać. Podejdź do mnie.

Podszedłem niepewnie. Zachary stanął chwiejnie o własnych siłach.

— Zdejmij mi to, proszę. — Po chwili kajdany za sprawą magii opadły. — Dziękuję. — Roztarł nadgarstki. — Zostało mi niewiele czasu. Daj mi prawą rękę i puść Alexa.

Podąłem mu ją bez wahania, ale dłoń mojego ucznia puściłem niechętnie.

Zachary palce położył na moim czole. Drugą dłonią przycisnął moją prawą rękę do miejsca, gdzie biło serce, swoją zimną dłoń położył na mojej.

Poczułem ogromny ból, mało brakowało, bym krzyknął. Krew w moim ciele krążyła niesamowicie szybko, więc serce przyspieszyło co najmniej dziesięciokrotnie. Jakaś nieznama mi substancja pojawiała się w moich ranach i płynęła w głąb organizmu, rozpychając się w żyłach. Tęczówki Zacharego ciemniały. Stawały się też coraz bardziej szkliste.

Po kilku minutach obezwładniający ból minął. Wyrównałem oddech.

— Co zrobiłeś? — zapytałem.

— Zmieniłem cię w Bonesa. W ten sposób będziesz mógł lepiej chronić Alexa.

Zachwiał się, mówiąc to. Podtrzymałem go, by nie upadł na podłogę.

— Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? To cię wykończyło...

— Thanielu... Ja i tak umieram. Wolę oddać umiejętności i wiedzę tobie. Żegnaj, Alex. Łowcy wykończyli całą moją rodzinę. Matkę, ojca, siostrę... A teraz także mnie. Choć ty przeżyj, Alex. Przeżyj i bądź szczęśliwy. Wiem, że z Thanielem będziesz. Żegnajcie.

Zgasł. Osunął się po moim ramieniu na podłogę. Nie oddychał, jego serce już nie biło, ciało stygło.

Przyciągnąłem do siebie Alexa i objąłem go.

— P-przytul mnie... — wyszeptał.

Zacieśniłem uścisk, patrząc na zwłoki nastolatka.

Wokół ciała Zacharego pojawiła się szarosrebrzysta, siedmioramienna gwiazda. Jednocześnie moja lewa łopatka boleśnie zapiekła. Syknałem. Ból był taki, jakby ktoś zaszywał mi tam ranę. Wręcz czułem klucie i prześlizgającą się pod skórą nić.

Po chwili ból minął. A wraz z nim zniknęło ciało siedemnastoletniego Bonesa.

Kroki.

Jeden za drugim.

Coraz szybciej.

Coraz bliżej.

Ścisnąłem mocno Alexa, zamknąłem w swoich ramionach. Wtulił się we mnie. Bałem się, po raz kolejny tego dnia, było pewne, że nie dam rady obronić szatyna w tym stanie. A nie mogłem dopuścić do tego, by ktoś go skrzywdził. W oczach zarówno moich, jak i Alexa wciąż były łzy; Zachary przecież wcale nie musiał ginąć! Chciałem jakoś pocieszyć Alexa, ale sam ledwo się trzymałem. Ścisnąłem pocieszająco dłoń osiemnastolatka.

Gertrude wpadła do sali z mordercą w oczach. Alex aż pisnął z przerażenia.

— Odejdź, Gertrude. On się boi.

— Och, a może to ty się boisz?

— Tak, boję się. Zadowolona?

— Nie. Ty żyjesz. On żyje. Nie będę zadowolona, póki on nie będzie martwy.

— Będę bronił jego życia nawet za cenę własnego. Jest moim przyjacielem. Jest dla mnie wyjątkowy i ważny. — Alex spał. — Ślicznie się rumienisz, Aleksiu — szepnąłem mu do ucha, tak żeby Łowczyni tego nie widziała.

Chłopak w odpowiedzi wtulił twarz w moją szyję. Złapałem go mocniej w pasie.

— Nie skrzywdzę go. I nie pozwolę, by ktokolwiek to zrobił. Ani Orion, ani Cedric, ani ty.

Za kobietą pojawił się jakiś cień. Zaczął się powoli i bezgłośnie materializować. Gertrude tego nie widziała.

Zmiennokształt cienisty. Najbardziej zabójcza i niepowstrzymana zmora, przybierająca, w przeciwieństwie do drugiej swojej odmiany, kształt dowolnego zwierzęcia. I nie była widoczna jedynie w lustrze, bo gdy spójrzała w lustro, umierała. Bez tego odbijającego rzeczywistość szkła pokonała ją tylko przodek Zacharego, który postanowił przyłączyć się do Łowców, Romé Bones.

Zmora zawarczała i przybrała postać wielkiego, czarnego lwa. Uderzyła Gertrude potężną łapą.

Kobieta upadła na podłogę, a na jej plecach odznaczały się wyraźnie trzy głębokie rany po pazurach, wypełnione jakąś ciemną substancją. Wściekle różowy sweterek przewodniczącej Rady szybko zabarwiła jej krew. Oczy bestii zabłyszczały intensywną czerwienią.

Wyczułem dreszcze na poranionych ramionach Alexa. Przycisnąłem go mocniej do swojej klatki piersiowej, chociaż i mnie poraził strach.

Poczwara obnażyła kły, powoli zbliżając się do Gertrude. Kobieta wstała i panicznie szukała lusterka po licznych kieszeniach spodni i swetra. Nie znalazła go. Nie znalazła również żadnej innej broni przeciwko zmorom. Była bezbronna, więc zaczęła się cofać.

Lew poszedł w jej stronę, kompletnie ignorując mnie i szatyna. Zaryczał, a Gertrude przytuliła plecy do ściany; z jej oczu wypłynęły łzy przerażenia. Zwierzę stanęło na dwóch łapach niczym spłoszony koń. Pazury opadającej na ścianę bestii o centymetry minęły tętnicę szyjną kobiety, która wrzasnęła rozdzierająco. Zmora otworzyła paszczę i przystawiła ją do szyi Gertrude.

Objąłem Alexa mocniej, kuląc się na podłodze; uznałem, że tak będzie bezpieczniej. No i na pewno nie przewrócimy się, jeśli zasłabnę. Zasłoniłem mu oczy i sam odwróciłem wzrok, wtulając twarz w jego miękkie włosy.

Właśnie przyszedł czas na śmierć tej, która karze śmiercią.

Po chwili z Gertrude zostały jedynie jakieś zakrwawione strzępy ubrań Łowczyni, choć jej krzyk wciąż niósł się echem po pomieszczeniu.

Zmora podeszła do mnie i Alexa. Ku mojemu zdziwieniu, zaczęła się łąsić, jakby prosiła o pogłaskanie. Nieśmiało podrapałem ją za uchem. Jednocześnie bałem się tej zmory i byłem jej wdzięczny za uratowanie życia mnie i Alexowi. To było dziwne uczucie — jednocześnie bać się i być wdzięcznym tej samej istocie. Alex ostrożnie wyjrzał spod między więzienia moich ramion.

Poczwara odeszła kawałek i się przeistoczyła.

— Z-Zachary? — wyjąkałem.

Zmora wyglądała zupełnie jak on, tylko była kompletnie wyprana z kolorów. Przydługie z tyłu, szare włosy opadały na bladoszarą skórę, a równie popielate co włosy oczy przewiercały na wylot. Skóra wokół nich była ciemniejsza. Na wyblakłym ciele luźno wisiała czarna koszulka z symbolem nieskończoności, wytartym tu i ówdzie, natomiast ciasne spodnie ściśle przylegały do chudego ciała.

Postać podeszła do nas.

— Owszem. — Głos dochodził ze wszystkich stron. — Nazywam się Zachary Bones.

— A-a-ale jak?

— Gdy moje ciało zniknęło, stałem się zmorą. Jestem z tobą połączony, Thanielu Foksie. Nie zawsze jestem obok, ale czasami tak. Możesz mnie wezwać, gdy będziesz mnie potrzebował. — Nie poruszał ustami. — Potrafię się komunikować tylko z Bonesami... A więc teraz także z tobą. — Zniknął.

Objąłem Alexa ściśle swoimi ramionami i przerzuciłem go sobie przez bark.

— Trzymaj się mocno — wyszeptałem.

Pobiegłem w nadludzkiem, Łowieckim tempie do drzwi sali, a potem korytarzem na zewnątrz skrzydła sądowiczego. Strażnicy i pozostali Łowcy usiłowali mnie zatrzymać, ale unikałem ich dłoni i samych osób; biegłem dalej.

Popędziłem dalej przez labirynt podziemnych tuneli, aż skręciłem do najbliższego wyjścia na powierzchnię. Na szczęście użyłem dość rzadko używanych tuneli, więc teraz nie biegła za mną cała gromada Łowców z zakłętymi ostrzami.

Po drodze wpadłem jeszcze do magazynu z zapasami; chwyciłem zapasowe ubrania i pierwszą lepszą torbę z eliksirami. Może znajdę coś, co nam pomoże.

Po godzinie bezustannego biegu z Alexem w ramionach dotarłem na światło dnia. Słońce, którego tak dawno nie widziałem, prażyło mocno i oświetlało nawet najciemniejsze zakamarki zaułka, do którego wbiegłem. Ciemne ściany ze zbutwiałego drewna jeszcze jakoś się trzymały.

Tutaj nie było ludzi; nikt nie chodził w takie miejsca w obawie przed zmorami i zawaleniem się drewnianych budynków.

Już od początku towarzyszyły nam pogardliwe spojrzenia nielicznych emerytów i dzieci wracających ze szkół. Większość sklepów i biur jeszcze nie zakończyła pracy, dlatego trudno było spotkać tu wielu dorosłych o tej porze.

— Aleksiu... Wiesz, jak stąd dojść do Alei Tysiąca Gwiazd? Do twojego domu?

Gwiazdy są w jego oczach. Widzę to za każdym razem, gdy w nie patrzę. Są piękne. Pokazują, że nie ma się czego bać. Że ciemność nie jest tak straszna... Przecież oświetlają ją gwiazdy. Przynoszą nadzieję na nowy, lepszy dzień.

— To już blisko. Trzecia ulica w prawo, dalej będzie rynek, wtedy w północną ścieżkę do rozgałęzienia alei...

— Dość, dość, wystarczy. Wolniej. Pogubiłem się. Jeszcze raz. Powoli i po kolei.

— Dobrze. Możesz mnie postawić? — Szarpnął się lekko.

— Nie. — Uśmiechnąłem się. — Czyli teraz trzecia ulica w prawo, tak? Do rynku?

— Właśnie tak.

Poszedłem w wyznaczoną stronę. Wciąż trzymałem Alexa mocno, chociaż na pewno strasznie nim trzęsło. Praktycznie nie było tu ludzi, a nawet jeśli byli, to omijali nas szerokim łukiem, odwracając wzrok.

— Gdzie teraz?

— W północną.

— Czyli piąta na lewo?

— Tak, Thanielku.

Trzy staruszki zgorszone aż taką bliskością między mną i Alexem ruszyły ku nam z parasolkami, wstając wcześniej z parkowych ławek w cieniu drzew. Gołębie, które karmiły przy płotekach, odleciały na szczyty bloków, których cienie otaczały park. Chociaż była to raczej nędzna imitacja niż park, ale lepsze pięć drzew na krzyż niż nic. Ominąłem zgrabnie staruszki oraz ich parasolki i dalej ruszyłem już szybszym krokiem w stronę klatki schodowej do mieszkania rodziny Alexa zgodnie z jego wskazówkami.

Po dziesięciu minutach stałem pod blokiem Alexa. Był śnieżnobiały, pomijając lekkie zabrudzenia i szyby w niektórych oknach. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko chodnik i trawę. Wszedłem po wykruszonych i popękanych schodkach pod daszek przy wejściu i zadzwoniłem pod numer mieszkania jego rodziny.

— Mamo, to ja. Alex — powiedział zielonooki do domofonu. Potem zwrócił się do mnie: — Nie zamierzasz mnie postawić, prawda?

Na jego twarzy odgrywała się bitwa. Jego oczy zwilgotniały. No tak, w końcu nie widział rodziny od dobrego roku. I teraz tu wraca. Sam nawet bym nie przypuszczał, że tak się stanie. Poprzednio też nie obyło się bez łez. Przytuliłem go mocno do siebie.

— Nie, mój skarbie. — Obdarzyłem go półśmiechem.

Drzwi się otworzyły. Przytrzymałem je odrobiną magii i wszedłem z Alexem na rękach na klatkę. Wszedłem na drugie piętro, po czym zapukałem do drzwi.

Otworzyła mi Veronica, matka Alexa. Syknęła niezadowolona na mój widok.

— Zostaw go, Łowco. — Jej źrenice zwężyły się w pionowe kreski.

— Spokojnie, mamo. On nic nie zrobi ani mnie, ani tobie.

Wiedziałem, że tak będzie; mimo tego zrobiło mi się przykro. Po wyrazie twarzy Alexa stwierdziłem, że i on czuje się niekomfortowo w tej sytuacji. Doskonale widziałem jego smutek. Tak tęsknił za rodziną, a teraz, gdy w końcu ją spotyka... To jego matka, zamiast cieszyć się, że jest cały i prawie zdrowy, krzyczy na mnie. Widziałem, że w oczach zbierają mu się łzy. Wiedziałem tylko jedno — za żadne skarby nie skrzywdzę Alexa.

— Skąd możesz to wiedzieć? Ja też kiedyś zaufałam Łowcom. Pożałowałam po czasie. Nie zdążyłam uciec, zanim zrobili mi to.

Odciągnęła rękaw sukienki, ukazując wypalony symbol na przedramieniu. Przypominał fantazyjnie nakreślone W. Wokół litery znajdowało się mnóstwo małych Znaków, głównie ochronnych. Jeden przypominał spiralę, drugi z kolei złączone ze sobą litery V, wyglądające jak X, z tym że widać było wyraźną przerwę pomiędzy nimi. Trzeci był trzema prostymi, przecinającymi się kreskami, a czwarty... Czwartego już nie dostrzegłem, bo kobieta opuściła rękaw.

— Odejdź, zanim cię do tego zmuszę. Alex, zejdź z niego i odsuń się — rozkazała.

— Mamo! Wysłuchaj mnie! — zawołał błagalnie mój uczeń.

— Odejdź od niego. To jest Łowca! Nie chcę, żeby cię skrzywdził. Tak jak inni Łowcy mnie i moją rodzinę. Siostrę, brata, siostrzenicę...

— Nazywała się pani Vittoria Bones, prawda? Była pani ciotką Zacharego?

— C-co? Skąd to wiesz?! — Jej oczy błyszczały strachem i wściekłością.

— Mamo! Wysłuchaj mnie wreszcie!

— No co, Alex? — zapytała zniecierpliwiona.

— Zachary nie żyje! — Prawie wykrzyczał jej to w twarz. — Łowcy go wykończyli! Tylko Thaniel ochronił mnie przed podobnym losem!

Serce mi się krajało, gdy słuchałem tej kłótni. Miałem ochotę po prostu zostawić tu Alexa i odejść, ale zauważyłem jego błagalny wzrok. „Zostań w moim życiu. Proszę” — zdawał się mówić.

— Co?

Nie dowierzała słowom Alexa. Przez chwilę patrzyła na syna w szoku. Następnie zwróciła twarz w moją stronę.

— Uratowałeś go? Uratowałeś moje dziecko?

— Nie. Nie uratowałem go. Chciałem go uratować, nawet bardzo... Zaproponowałem nawet swoje życie za Alexa... Ale to nie dało praktycznie nic. Jedyne, co tym osiągnąłem to to, że nie mogli zastrzyć wyroku pani syna — powiedziałem cicho. — Sam też zostałem skazany. Dlatego, że chciałem wspierać Alexa podczas jego egzekucji...

Wtuliłem osiemnastolatka w siebie. Do oczu podeszły mi łzy na wspomnienie ostatnich godzin. Wydarzyło się zbyt wiele złych rzeczy, żeby to zbagatelizować. Zbyt wiele cierpienia czaiło się gdzieś w zakamarkach umysłu, by zapomnieć. Za bardzo cenilem Alexa, żeby po prostu obojętnie patrzeć na jego śmierć. Tego wszystkiego było zbyt dużo.

— Alex? To prawda?

— Tak, mamó. Robił wszystko, żeby mnie wesprzeć. Próbował pomóc w ucieczce mnie i Zacharemu. Próbował nas ratować... Zacharego też... Ale to on uratował mnie i Thaniela. Sam stracił życie — wyszeptał.

— Pokaż plecy — rozkazała mi. Jej głos się załamywał.

Dostrzegłem łzy w jej zielonych oczach. Oddech kobiety był płytki i szybki. Całe ciało matki Alexa drżało w bezgłośnym szlochu. Straciła kolejną osobę z rodziny. A wszystko przez takich jak ja... !

Zaskoczony odwróciłem się do niej tyłem. Podciągnęła mi koszulę, którą naprawilem w biegu za pomocą magii, by wyglądać jak cywilizowany człowiek wśród ludzi z Nadziemnego Ignis. Jej oczom ukazały się moje poranione plecy. Wiele ran podczas biegu znów się otworzyło. Torba, którą ze sobą zabrałem, była kompletnie nieprzydatna, zważywszy na to, że ostała się jedna buteleczka, zawierająca eliksir szybkiej śmierci. Reszta była pusta.

— On... On ci zufała... — wyszeptala. — On zamienił cię w jednego z nas... Jesteś Bonesem. Masz na lewej łopacie nasz symbol. Siedmioramienną gwiazdę Bonesów.

— Przysiągłem Zacharemu, że zaopiekuję się pani synem. Zamierzam dotrzymać słowa.

— Wpuścisz nas, mamó? — wtrącił się Alex.

— Och, tak, wchodźcie. — Pozwoliła mi przejść, przechodząc do ciasnego pokoju, który wyglądał na kuchnię. — Kawy, herbaty?

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Było małe, ale jasne ściany zwiększały je optycznie. Wszystko było schludne i czyste, chociaż w nielicznych miejscach zobaczyłem rozsypane na blacie przyprawy czy białą mąkę znaczącą czarne płytki podłogi.

— Poproszę kawę — powiedziałem, pozwalając Alexowi stanąć na własnych nogach.

— Ja herbatę — dodał chłopak, stając pewniej. — Mamo... A gdzie Adam? Gdzie Arthur i Annith?

Kobieta posmutniała.

— Arthur poszedł cię szukać tydzień po twoim zniknięciu. Nic o tym nikomu nie powiedział. Po prostu jednego dnia był, a drugiego już nie. Jeden z uczniów liceum zauważył coś w rzece przy Chmielnej. To był łańcuszek, który Arthur zawsze nosił ze sobą. Srebro pokrywała zaschnięta krew. A Adam... Wciąż leży w szpitalu. To cud, że przeżył spotkanie ze szwedaczem dziennym. Obronił trójkę pierwszoklasistów, a sam ledwo uszedł z życiem. Annith jeszcze nie wróciła ze szkoły. Twój ojciec, Lysander, do końca tygodnia ma dyżur w szpitalu na drugim końcu miasta. Wróci za kilka dni.

Zastanawiało mnie, skąd matka Alexa tyle wie o zmorach. Przeciętny mieszkaniec Nadziemnego Ignis nie wiedział nawet połowy tego, co ona. Może to ma związek z tą legendarną wiedzą i niezbadanymi umiejętnościami Bonesów?

Przez długą chwilę panowała cisza, którą przerwał dopiero gwizd czajnika. Kobieta potrząsnęła głową i wstała, by zalać herbatę i kawy rozpuszczalne wrzątkiem.

Po chwili na stoliku obok stały trzy napoje — dwie kawy i herbata. Wziąłem jeden z kubków i upiłem łyk gorzkiego napoju.

— Zbliża się wojna — powiedziałem wprost.

— Tak. Zbliża się wojna ze zmorami. Ale żeby je pokonać, tak doszczętnie... Musicie wiedzieć, z czego się zrodziły.

6

Veronica chwyciła swój kubek i podała Alexowi ten z herbatą. Usiadłem, a chłopak usadowił się na moich kolanach i wtulił plecami w moją pierś.

— Znacie fałszywą wersję tego, jak powstało Ignis — zaczęła — oraz formacja Łowców.

— Cóż, słuchamy w takim razie — powiedziałem.

— Jak wszyscy, wy myślicie, że Łowcy pojawili się, dopiero gdy zaatakowały zmory. To nieprawda. Dawniej Łowcy i Bonesowie zgodnie rządzą nadziemnym światem, a Podziemie nie istniało, bo nie było potrzebne, gdyż zmora było ledwo kilka gatunków i rzadko atakowały ludzi. Dlatego nie było setek Łowców, a co najwyżej z pięćdziesiąt osób. Jak duża rodzina. Jednak gdy Łowcy zdradzili jednego z Bonesów, próbując siłą wydrzeć mu sekret rodu, rozpętało się piekło. Nastąpiła apokalipsa, którą przeżyli tylko nieliczni. Cały świat, jaki wówczas znano, stanął w płomieniach.

Alex, tak samo jak ja, słuchał jej słów z uwagą i otwartymi ustami. Nie miałem pojęcia, że właśnie w ten sposób zaczęła się historia miasta i społeczeństwa żyjącego pod nim. Twarz Alexa wyrażała tysiące niewerbalnych pytań. Pytań, na które na razie nie znaleźliśmy odpowiedzi. *Dlaczego? Jak? Skąd? Dlaczego wcześniej nie znaleźliśmy tej wersji? Dlaczego Łowcy inaczej kreują rzeczywistość?*

— Z jego popiołów narodziły się potwory. Kolejne, bardziej zabójcze zmory powstały ze zgliszczy dawnego świata. Łowcy zniknęli pod ziemią, a ludność, i tak wykończona końcem starego świata, musiała sobie radzić sama. Wcześniej pomagali jej Bonesowie, ale ludzie nie chcieli ich widzieć. Obwiniali ich za wywołanie apokalipsy i śmierć bliskich oraz przyjaciół. Wybudowali Mur, odgradzając nim powstające miasto od reszty świata. Od Bonesów również. W taki sposób powstało Ignis. Jako miasto na zgliszczach dawnego świata.

Opowieść matki Alexa wywarła na mnie duże wrażenie. Nie chciało mi się wierzyć, że to wszystko wina takich jak ja i Alex. Ludzi, którzy mnie szkolili i wychowywali. Co, jeśli popełnię błąd, a historia znów zatoczy koło? Jeśli z mojej winy zniknie w płomieniach cały ten świat? Wszyscy, których kocham, tak po prostu umrą?

— Czym tak właściwie są zmory? — spytał szatyn.

— Potworami z popiołów. Dziećmi ciemności, synami cienia i córkami cierpienia, wrogami litości. Zmory są ucieleśnieniem całego zła tego świata, nieczułymi, niepowstrzymanymi bestiami.

— Jak je można pokonać? — zapytałem zaniepokojony.

— Tu jest problem. Zniszczyć zmory mogą tylko Łowcy i Bonesowie razem. Muszą współpracować. Nie oczekiwać od siebie niczego w zamian, chcieć jedynie uwolnić ludzi od plag tych stworzeń. Kilka razy próbowaliśmy dojść z nimi do porozumienia. Jednak Łowcy stali się chciwi. Chcieli znać nasze sekrety za wszelką cenę, zaproponowali pomoc kilku swoich ludzi w zamian za te informacje. Nie rozumieli pojęć takich jak „tajemnica” i „prywatność”. Chcieli wiedzieć wszystko, nie zważając na koszty, jakie musieliby ponieść.

— Jak mamy to zrobić? Jak nawiązać współpracę z Bonesami? — zapytał mój uczeń.

— Nie wiem, Alex. Ostatniego Bonesa wykończyli na waszych oczach.

— A ty, mammo?

— Ja zostałam wyklęta z rodu — stwierdziła beznamiętnie.

— Więc jak mamy zapobiec kolejnej apokalipsie? — zapytałem, martwiąc się, że tego nie dokonamy i świat po raz drugi pograży się w chaosie.

— Niewykluczone, że nigdy tego nie zrobimy, Łowco.

Alex odwrócił się i wtulił we mnie mocno. Bał się, widziałem to w jego oczach. Ja też się bałem. Że nie dam rady. Że stchórzę. Że z powodu mojego błędu ktoś zginie. Że wszyscy, na których mi zależy, nie dożyją kolejnego dnia...

Objąłem Alexa w pasie i przycisnąłem do serca, mając nadzieję, że gdy to wszystko się skończy, i Alex, i wszystkie inne ważne dla mnie osoby będą bezpieczne, całe i zdrowe. Wiedziałem, że dołożę wszelkich starań, żeby tak właśnie było.

— Alex, cokolwiek się stanie, zawsze będę cię chronił. Przysięgam. Jesteś dla mnie najważniejszy na świecie i nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało — wyszeptąłem mu czule do ucha.

— Nigdy nie spotkałam kogoś takiego, Thanielu — powiedziała Veronica, patrząc na nas. — Twój dotyk uspokaja Alexa, a w słowach nie ma śladu kłamstwa. Nikt nie traktował go wcześniej jak największego skarbu na świecie. A ty... po prostu przyszedłeś do jego życia i rozjaśniłeś je od środka. Takie mam wrażenie. Jestem ci za to bardzo wdzięczna.

— Za wiele dla niego znaczę, żeby sobie pójść, a on zbyt wiele znaczy dla mnie, żebym odszedł. Zostanę z nim do końca świata. I nikt i nic tego nie zmieni. Żadna zmora, nawiedzona dziewczyna ani wściekła przewodnicząca Rady Podziemia.

— Kochasz go?

To pytanie jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu o tym, co powinienem odpowiedzieć. Nie wahałem się ani chwili.

— Tak — odpowiedziałem pewnie. — Oddałbym za niego własne życie.

— Ale nie zrobisz tego? — zapytał przestraszony Alex. Widziałem po jego twarzy, że nie dałby rady tego zdzierżyć. Bał się o mnie. O mnie. O to, czy będę mógł budzić go rano z uśmiechem na ustach i chronić przed wszystkimi, którzy chcą jego krzywdy. W oczach błyszczały iskierki nadziei, że nigdy go nie opuszczę, że nigdy nie będzie musiał znosić smutków sam. Że będzie miał z kim dzielić się swoją radością. Wiedziałem, że nie mógłbym mu tego zrobić. Poświęcić swojego życia za niego i tak po prostu odejść. Zniknąć z jego życia i nigdy nie wrócić. Przecież i on wtedy umrze.

— Nie zrobię. Nie mogę.

— Nic nie rozumiem — stwierdziła zdezorientowana Veronica. — Przed chwilą mówiłeś, że oddałbyś za niego życie, a teraz mówisz, że nie możesz. Zdecyduj się.

— Nasze istnienia są połączone. Jeśli umrze jeden, umrze też drugi. Dlatego nie poświęcę za niego życia, ale to nie zmienia faktu, że sercem należę tylko do Alexa.

— Czym sobie zasłużyłem? — zapytał, z lekka zaskoczony. Patrzył na mnie poważnie, choć miał lekkie rumieńce na policzkach.

— Nie kocham cię „za coś”. Kocham cię, bo chcę kochać i chronić mimo wszystko.
— Uśmiechnąłem się do Alexa i z czułością pogłaskałem go po policzku.

— Dziękuję...

— Wracając do tematu...

Poczułem ból w sercu, co oznajmiło mi, że iluzja, która jako tako doprowadzała do porządku mnie i Alexa, zniknęła. Byłem zbyt słaby, żeby ją podtrzymywać. Nasze ubrania były na powrót postrzępione, a otwarte przez bieg rany na rękach znów się ukazały. Ubrania prawie natychmiast zaczęły przesiąkać krwią.

— Alex! Panie Fox! Wyglądacie strasznie! — krzyknęła na nasz widok młoda siostra Alexa, ośmioletnia Annith Morningstar o inteligentnym spojrzeniu. Rzuciła plecak w kąt i szybko ściągnęła niebieskie, skórzane buciki z nóg. Podbiegła do nas.

Faktycznie, z moich ramion leciała krew i barwiła zieloną koszulę, a uprząż do manewru trójwymiarowego się przekrzywiła. Spodnie Alexa poplamiała posoka. Brązowo-zielona koszula była podziurawiona i postrzępiona, widać było poranioną skórę. Jego uprząż trzymała się na ostatnich nitkach.

— Jaka ja głupia jestem. Bądź tak miły, Thanielu, i połóż Alexa na łóżku, opatrzymy was.

Zrobiłem, o co prosiła. Nie miałem wystarczająco dużo sił, by uleczyć magią i siebie, i Alexa. Nie byłbym w stanie uzdrowić siebie, bo czułbym się winny, a gdybym uleczył Alexa, sam pewnie zginąłbym z wycieńczenia, a ze mną Alex. Błędne koło.

Młoda blondyneczka wróciła z apteczką, położyła ją między mną a Alexem. Wzięła szmatkę i ostrożnie namaczała przyschnięte do ciała ubrania. Odczepiła ode mnie koszulę i ściągnęła ją szybko. Zaczęła przemywać każdą ranę spirytusem i owijać bandażami, poważniejsze ostrożnie zszywała. Syczałem z bólu.

Veronica tak samo postępowała z Alexem. Po dwóch godzinach oboje wyglądaliśmy jak mumie, choć nie było to aż tak konieczne.

— Prześpijcie się. Mamy co prawda tylko jedno łóżko dla gości, to należące wcześniej do Alexa...

— To nie będzie konieczne, Annie. Thaniel doskonale się sprawdza jako materac, chociaż może akurat nie tym razem. Z drugiej strony, mam przecież szerokie łóżko, w końcu kiedyś dzieliłem je z tobą, siostrzyczko.

Złączyłem nasze czoła w wyrazie czułości.

— Dla ciebie wszystko, Aleksiu.

Wstałem i podniosłem go delikatnie, choć z trudem. Zaciskałem zęby, żeby nie syknąć. Zaniósłem szatyna do wskazanego mi przez dziewczynkę pokoju. Położyłem go na miękkim, jednoosobowym łóżku; sam ułożyłem się obok i za pomocą magii okryłem nas kołdrą. Było ciasno, ale jakoś się zmieściliśmy. Objąłem go ramionami.

— Śpij, Aleksiu. W razie czego będę blisko — wyszeptałem mu do ucha.

Po chwili wyczułem zmianę jego oddechu. Stał się równy, głęboki; chłopak zasnął. Wtuliłem twarz w jego włosy i, zanim się obejrzałem, sam oddaliłem się w krainę snów.

Zmory.

Pełno ich.

Wszędzie wokół mnie.

Wokół Alexa.

Wokół nas.

Alex.

Alex i jego rozszarpany przez zmorę bark.

Jego krzyk.

Moje łzy.

Jego ból.

Moje cierpienie.

Jego błagania.

Moja bezradność.

Zmora wgryzająca się w moją szyję.

Ból.

Krzyk Alexa.

Ciepło jego ciała przy mnie.

Jego ostatni oddech na mojej szyi.

Jego śmierć.

Moje ostatnie "kocham cię, Aleksiu".

Ciemność.

Silne ramiona, potrząsające moim ciałem, i głos słyszany jak przez mgłę.

— Thaniel! Thaniel, obudź się!

Obudziłem się, gwałtownie podrywając do siadu. Byłem zlany potem.

Alex z wyrazem przerażenia na twarzy siedział na mnie, nieco poniżej linii bioder.

Wtulił mnie w siebie nagle i niespodziewanie. Jego oczy były pełne łez. Nawet w ciemności dostrzegąłem jego zielone tęczęwki, błyszczące jeszcze przed chwilą smutkiem, a teraz ulgą. Zadziwiająco, ile oczy mówią o człowieku. O jego uczuciach i o tym, co dla niego jest ważne. Dla tego akurat szatyna ważny jestem ja. Nie sądziłem, że aż tak się mną przejmie. Nie sądziłem, że aż tyle mogę dla kogoś znaczyć.

— Thanielku... Tak się o ciebie bałem... Nie mogłem cię obudzić.

Położył swoją głowę na moim ramieniu, a jego łzy moczyły moją koszulę. Objąłem go drżącymi ramionami.

— Miałem koszmar, Aleksiu — wyszeptalem. Bardzo wiele dla mnie znaczyło, że tak się o mnie troszczy. Że tak dba. Zależy mu na mnie jak nikomu innemu. Widziałem to. W każdym jego czynie, słowie i każdym spojrzeniu zielonych oczy. — Dziękuję, że mnie obudziłeś.

— Koszmar? Opowiesz?

Szatyn odkleił się ode mnie i spojrzał mi w oczy. Po chwili oparł się o mnie ponownie, tym razem bokiem. Złączyłem nasze czoła.

— Byliśmy sami, wokół nas tylko zmory. Całe tysiące. Jedna z nich rozszarpała ci bark. Krzyknąłeś, a ja cierpiałem razem z tobą. Nie mogłem ci pomóc. — W moich oczach zaczęły zbierać się łzy. Nie hamowałem ich, niech płyną. — Błagałeś mnie o to, ale nie byłem w stanie nic zrobić. W końcu inna zmora wgryzła się w mój kark. Poczułem jeszcze ciepło twojego ciała obok siebie, zanim... zanim wyszeptalem swoje ostatnie słowa. — Głos mi się załamywał; mówiłem coraz ciszej i słabiej. — Były skierowane do ciebie, ale już ich nie usłyszałeś, bo byłeś martwy. — Po moich policzkach spływały łzy; nie potrafiłem ich zatrzymać.

— Jakie słowa? — Czułym gestem otarł mi łzy kciukiem, po czym przytulił mnie mocno do siebie.

— „Kocham cię, Aleksiu”. Sekundę po wypowiedzeniu tych słów ogarnęła mnie ciemność. Potem usłyszałem twój głos. Wybudził mnie z koszmaru.

Do pokoju weszła Annith; zapaliła światło. Niosła tacę z dwoma porcjami jajeczniczy z pomidorem i kromką chleba. A przynajmniej według Alexa tak to się nazywa. Przypominała trochę naszą papkę z Podziemia, ale była żółto-biała. Obok znajdowały się jakieś czerwone kuleczki, to pewnie właśnie te pomidory. Leżący obok miękki, gąbczasty, cienki placek o chrupiących brzegach, bo tak właśnie wyglądał ten „chleb”, miał w sobie jakieś ziarenka.

— Jak się czujecie? — zapytała, położywszy tacę na stoliku nocnym.

— Już lepiej, siostrzyczko. Chodź no tu do mnie. — Zielonooki wyciągnął ręce do małej istotki, schodząc wcześniej z moich kolan. Dziewczynka odrzuciła za ramię swoje jasne włosy, teraz zaplecione w luźnego warkocza do tyłu, ukazując rumianą dziecięcą buźkę i uwydatniając spojrzenie inteligentnych, poważnych oczu. Dziwne połączenie, wygląda na mniej niż ma lat, a rozumie więcej niż niejeden dorosły.

Dziewczynka z uśmiechem się w niego wtuliła. Długie jak na jej wiek włosy rozlewały się swobodnie po klatce piersiowej Alexa.

— Rzadko kiedy spotyka się takie rodzeństwo — stwierdziłem. — Naprawdę jesteście dla siebie wsparciem.

— To jak jest zazwyczaj? — spytała Annith, patrząc na mnie wielkimi oczami.

— Częściej, znacznie częściej, pomiędzy bratem i siostrą wygląda to tak, że oboje robią wszystko, byle tylko uprzykrzyć życie drugiemu.

— Ja tam się cieszę, że mam takiego brata jak Alex.

Chłopak pocałował ją w czoło delikatnie.

Nagle cały świat, no, przynajmniej blok, w którym była cała nasza trójka, zatrzęsł się w posadach.

Alex natychmiast przypadł do mnie i mocniej objął siostrę. Jego oczy wyrażały tylko strach. Natomiast dziewczynka, mimo przerażenia, że budynek zawalił się na głowę, zastanawiała się nad powodem tej niecodziennej sytuacji. Zamknąłem szatynę i blondynkę w swoich ramionach, bojąc się o te ważne dla mnie osoby. Nie mogłem dopuścić, żeby im się coś stało.

Gdy wstrząsy ustały, wyszedłem z Alexem i Annith z pokoju. Oboje trzymali się za mną. Czulem potrzebę ochrony tej dwójki i ta potrzeba przeważała nad strachem. Mną też targał strach, ale miałem za sobą w końcu więcej doświadczenia w walce ze zmorami niż Alex i na pewno więcej niż jego siostra.

— Cokolwiek się stanie, obronię was — zapewniłem rodzeństwo, wtulając się w siebie tuż za moimi plecami.

Wyjąłem z buta mały nóż i powoli, ostrożnie parłem naprzód. Przekroczyłem próg korytarza. Wychyliłem się za framugę dębowych drzwi i omiotłem pokój wzrokiem.

Wygląd salonu znacznie się zmienił. Meble były lekko zwęglone; najwidoczniej jakaś eksplozja w pomieszczeniu rozrzuciła je pod ściany pokoju, bo leżały tam bez żadnego ładu. Na środku siedziała na piętach matka Alexa w czarnoszarej, długiej do kostek, lekko rozkloszowanej sukience. Jej siwiejące, brązowe włosy zmieniły kolor — teraz przy głowie były popieliste szare, a od szyi stopniowo przechodziły w czerń sadzy. Kaskadami rozlewały się po podłodze przy stopach Veroniki, odzianych w kompletnie niepasujące szare oficerki. Na kolanach miała rozłożoną wielką, zapewne starą, bo o pożółkłych stronach, prawie rozpadającą się księgę.

— *...a ventu e blicei zingeleb evenuar eigleb a enua e vici voni cemeni genutuar alebia...*

Matka Alexa i Annith najwyraźniej czytała jakieś zaklęcie. Zrozumiałem część słów. To był bardzo stary język, nieliczni go znali, a nikt w całości.

...a kiedy noc stanie się dniem, przybądźcie, ażeby wspomóc zwycięstwo przyjaciela uważanego za wroga...

— *...aelbia avis exiuri eptem nemel avaita ulebnum cones...*

...a poczwary z popiołów nigdy się nie odrodzą...

— *...a venoi ventino ven cin aleunai vittorito eten aulevis cintatum...*

...pozostaną popiołem aż po kres czasów i ostateczne zwycięstwo...

— *...aelum vistin alenve enxia alinia amoe...*

...panów nad swymi tworam...

Księga z hukiem się zatrzęsęła. Od środka pokoju zawiął porywisty wiatr. Włosy Veroniki tworzyły teraz wokół niej coś w rodzaju płaszcza. Siła podmuchu odrzuciła mnie,

Annith i Alexa z powrotem za framugę drzwi. Włosy dziewczynki samoistnie splątały się w warkocz, a Alexa lekko poszarzały na końcach.

Dopiero teraz zauważyłem, że suknia pani Morningstar klei się do jej przedramienia.

Odsunęła materiał delikatnie i pozwoliła czerwonej krwi skapnąć na okładkę książki. W locie połyskiwała srebrno, a po zetknięciu z wypłowiałą skórą czerwona ciecz zmieniała kolor na błękitny. Rana, z której kapała krew, miała kształt koślawych, wyciętych sztyłem liter V i B.

Ja, blondynka i szatyn byliśmy biernymi obserwatorami. Nie mogliśmy nawet wejść do pokoju, groziło to wywianiem za okno, które już dawno pożegnało się z szybą.

Teraz zauważyłem, że jedna kropla krwi spłynęła w określone miejsce. W wyhaftowaną literę Z. Następnie Veronica przeniosła nadgarstek nad fantazyjny kształt litery J. Na nią także spłynęła tylko kropla. Dwie krople krwi wsiąkały w nici haftu, barwiąc je. Rana zasklepiła się sama z siebie.

Meble wróciły do poprzedniego stanu, gdy tylko ustał wiatr. Jedyne, co wyglądało niepokojąco, to przemiana Veroniki. Włosy najpierw całkiem jej poszarzały i barwą przypominały popiół, tak samo jak włosy Zacharego. Potem stopniowo zaczęły zmieniać kolor — przez ognistoczerwony aż do prawie białego blondu. Suknia skróciła się i zmieniła kolor na szary, choć nadal pozostała rozkloszowana.

Kobieta odwróciła się w naszą stronę. Wszystkie zmarszczki zniknęły, a tęczęwki, wcześniej zielone, stały się szaroróżowe. Uśmiechnęła się do nas lekko. Bardzo mnie niepokoiło to, co miało miejsce przed chwilą, ale miałem nadzieję, że wkrótce się wszystko wyjaśni. Na swój sposób byłem tym zaintrygowany, zafascynowany... i bałem się tego. Mimo że na codzień używałem magii, to takie rzeczy były dla mnie nowe. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej, ale uznałem, że przyjdzie jeszcze na to czas.

Ktoś zaczął wyważać drzwi do mieszkania. Stłumione odgłosy kopania butami wojskowymi w heban drzwi wystarczały, by to ocenić.

Właśnie wtedy, gdy drzwi uległy i z hukiem spadły na kafelki w przedpokoju, wybiła szesnasta.

8

Dzwon zadzwonił po raz ostatni, a naszym oczom ukazała się...

Dziewczynka. Choć nazywanie jej dziewczynką było raczej nie na miejscu. W Podziemiu, z którego pochodziła, była znana jako „żelazna panna Valentine”. I tak właśnie było.

Białe włosy do pasa miała związane w dwa ciasne warkocze; skórę w kolorze śniegu znaczyło mnóstwo zadrapań, a czerwone oczy pały żądzą mordu. Czyli wszystko w normie. Szarzielone oficerki były mocno zawiązane na jej nogach, opatulając przy okazji spodnie moro z kieszeniami naszytymi jedna na drugą. Szara bluzka wciśnięta w spodnie wychodziła z nich lekko po lewej stronie.

Mimo swojego wieku piętnastoletnia Helodia Valentine była już Łowczynią. Schowała dwa zakłete sztylety do pochew na wysokości talii. Jej ruchy były stanowcze jak ona sama. Kreowała się na taką, która nie boi się niczego i nikogo. Było niewiele osób, na których jej zależało, ale gdy już znaczyło się dla niej coś więcej... Mogła zrobić wszystko, by zadbać o jego szczęście. W Podziemiu nawet o wiele starsi i bardziej doświadczeni Łowcy się jej bali, zresztą powinni. Była bezwzględna.

Annith i Alex, przerażeni, przypadli do ściany za mną. Ośmiolatka ze strachem wpatrywała się w nieznajomą dziewczynę, próbując ocenić jej zachowanie i przypisać jej cechy, które powinna mieć. Szatyn natomiast po prostu starał się ukryć przed albinoską, która o mało co go nie zabiła... w sumie już kilka razy. Nic dziwnego, że czuł strach.

— Thanielu Foksie! — zagrzmiała wysokim głosem, podchodząc do mnie i podnosząc mnie za kołnier. Nie przeszkadzał jej w tym fakt, że była o pół głowy niższa ode mnie. — Szukałam cię po całym Podziemiu i całym Ignis! Co ty sobie wyobrażasz?!

— Wybacz, Helodio, ale byłem zajęty próbami ratowania Alexa.

— Próbkami ratowania Morningstara? Co znowu narobił? — warknęła, łypiąc groźnie na Alexa.

— Właściwie, to świętej pamięci Gertrude skazała go na śmierć za to, że był ważny dla Zacharego.

— I? — Uniosła jedną brew, jakby nie do końca mi wierzyła.

— I jakoś tak wyszło, że skazała również mnie. Bo chciałem go wspierać.

— A to wredna jędza. — Helodia puściła mnie. — Dobry — warknęła do rodziny mojego ucznia, co miało być miłym powitaniem.

Veronica postanowiła się w końcu odezwać. Oderwała się od nerwowego przepłatania długich włosów w swoich smukłych palcach i odrzuciła je na plecy. Zaczęła przemawiać do Helodii władczy i zimnym jak lód tonem.

— Kim jesteś, dziewczyno? Pomiję już fakt, że Łowczynią. Więc...?

— Chwila... wiesz, kim jestem? Skąd?

— Nie mam zbyt przyjemnych wspomnień z takimi jak ty — odpowiedziała oschle kobieta. — Ale wiem, kim jesteście i czym się trudnicie.

Helodia odrzuciła dwa warkocze do tyłu. Przypatrzyła się Veronice uważnie, marszcząc przy tym brwi. Dostrzegała pociągłą, owalną twarz o miękko zakreślonych rysach, duże, głębokie oczy, które przewiercały ją wzrokiem na wylot. Wpatrywała się w nią dłuższą chwilę, jakby widziała osobę, z którą nie rozmawiała od kilku dobrych lat, której wygląd prawie zapomniała, a jednak gdzieś w głębi umysłu wiedziała, że ta osoba jest dla niej ważna.

— Przypomina pani moją dawną przyjaciółkę — powiedziała bez powodu. — Pamiętam jej ostatnią prośbę, zanim się rozstałyśmy na zawsze.

Veronica zainteresowała się, tym, co właśnie powiedziała moja przyjaciółka. Jej czoło wygładziło się, brwi lekko się uniosły w wyrazie zdziwienia, a mięśnie w całym ciele się rozluźniły.

— Jaką prośbę?

Na razie, Helodia nie zwracała uwagi na Alexa i Annith, a oni, korzystając z jej nieuwagi, prędko wycofali się w głąb korytarza. Ich ruchy były bardzo nerwowe i gwałtowne. Brat starał się osłaniać Annith przed wzrokiem demonicznej Łowczyni. Wiedziałem, że będzie jej bronił, zawsze.

— Mimo że jestem Łowczynią, nigdy nie zgadzałam się z decyzjami Rady Podziemia tak całkowicie — zaczęła dziewczyna. — Wiele, a nawet większość ich decyzji nie przynosi nic oprócz śmierci niewinnych. — Starła się zatrzymać na twarzy obojętny wyraz, ale kąci jej ust i oczu, które zaszkliły się od łez, same wędrowały w stronę podłogi.

— Widzę, że szykuje się dłuższa opowieść. Siadaj.

Veronica podsunęła jej krzesło. Helodia usiadła, a naprzeciwko niej ulokowała się starsza kobieta.

— Możliwe — mruknęła albinoska.

Mimo że byłem ciekaw opowieści Helodii, czułem się jak intruz. Miałem wrażenie, że bez zaproszenia wnikam w jej życie i poznaję jej tajemnice, choć o to nie prosiła. Nie chcąc przeszkadzać dziewczynie przy wyznaniu, postanowiłem dołączyć do rodzeństwa Morningstar, ale zatrzymał mnie głos przyjaciółki.

— Usiądź z nami, Thanielu. Ty też powinieneś usłyszeć tę historię.

Używając magii, przywołałem sobie krzesło. Usiadłem obok Helodii i Veroniki. Martwiłem się o Alexa i jego siostrę, ale byłem pewien, że sobie poradzą. Ciekawiła mnie też opowieść białowłosej demonicy, jak niektórzy ją nazywali.

— W takim razie słucham — powiedziałem, przybierając jak najwygodniejszą pozycję.

— Nie jest to szczęśliwa opowieść — podjęła panna Valentine. — Miałam wtedy dziewięć lat. Do Podziemia przyprawdzono całą rodzinę. Według władz podziemnego Ignis mieli ważne informacje o zmorach, ale ja nie wierzyłam w to. Brutalnie ich przesłuchiowano. Wypuszczano ich swobodnie do Podziemia tylko wtedy, gdy wszystkie drogi na powierzchnię były zamknięte. Właśnie któregoś takiego dnia spotkałam tę dziewczynę. Zawiązała się

między nami nie porozumienia, mimo dzielących nas pięciu lat. Obiecałam, że będę jej pomagać.

Zauważyłem, że ledwo powstrzymuje łzy. Słone krople czały się w kącikach jej oczu; usta drżały, tak samo jak ręce. Oddech przyspieszył, a klatka piersiowa unosiła zdecydowanie zbyt szybko. Opowiedzenie tej historii musiał ją kosztować naprawdę dużo nerwów i bólu. Wiedząc, że nie lubi okazywać słabości, nie wypominałem jej tego zachowania. Veronica wsłuchiwała się w jej słowa, każde dokładnie analizując.

— I co dalej? — dopytywała kobieta.

— Któregoś dnia przyszła w nastroju innym niż zwykle. Miała czarną sukienkę, choć zwykle nosiła raczej kolorowe, a czarnoszare włosy upięła na szczycie głowy. Była smutna, mimo że się uśmiechała. Ale oczy nie. To był smutny uśmiech. Najsmutniejszy, jaki pamiętam. Zaproponowała mi spacer. Zgodziłam się, ale udzielił mi się jej depresyjny nastrój. Zaprowadziła mnie do starej, nieużywanej sali treningowej. Wyciągnęła nóż, jeden konkretny. — Helodia sięgnęła pod koszulę.

— Chciała cię zabić? — zapytałem przestraszony. Akurat ta piętnastolatka wiele dla mnie znaczyła. Była dla mnie jak siostra, znałem ją od urodzenia. Nie wybaczyłbym sobie, jeśli ktokolwiek próbował ją skrzywdzić, a ja nic z tym nie zrobiłem. Tak jak ona potrafiła dla mnie zrobić wszystko, łącznie z założeniem sukienki, tak i ja wiele bym dla niej poświęcił.

— Nie. Podała mi go do ręki. — Ściągnęła do tej pory niewidoczny srebrny łańcuszek z szyi. Znajdowała się na nim mała, skórzana pochwa, z której wystawała metalowa rękojeść cienkiego sztyletu; w jelec wprawiono szary kamień w kształcie litery B. Dziewczyna podała go Veronice. — To właśnie ten. I jedyna pamiątka po niej.

— Co się stało? — zapytała Veronica, wyjmując nożyk z pochwy. Traktowała go z ogromną czcią, jakby to była jakaś relikwia albo bardzo stara pamiątka, którą już kiedyś widziała. Może nawet ona go komuś dała? Jej twarz wyrażała zachwyt, w oczach czały się iskierki... choć nie byłem pewien, czego. Szczęścia? Wzruszenia? A może jednego i drugiego?

— Wypełniłam jej ostatnią prośbę. Choć nie w standardowy sposób.

— O co cię prosiła? — Kobieta przyjrzała się dokładnie połyskującej błękitem klindze. Przesunęła palcem po ostrzu, a metal zabrudziła krew. — Przy okazji, bardzo dbałaś o ten nóż. Ma ponad tysiąc lat. — Widząc moje zaskoczenie, które było wyraźnie widoczne na mojej twarzy przez uniesione brwi i lekko rozchylone usta, dodała: — Potem wytłumaczę.

— Prosiła mnie o to, żebym ją zabiła — powiedziała cicho Helodia — ale nie byłam w stanie. Zbyt wiele dla mnie znaczyła. — Otarła łzę. — Wtedy zapytała, czy jej ufam. Ufałam.

Wstała i odwróciła się do nas plecami. Dziewczyna podciągnęła koszulkę, ukazując zapięcie stanika i nagie, umięśnione łopatki. Widniało na nich ciemniejsze od białej skóry znamię w kształcie siedmioramiennej gwiazdy.

— I zrobiła mi to. Powiedziała, że przekazuje mi swoją wiedzę i umiejętności w ten sposób. I że to ma być tajemnica przed Łowcami. I była, aż do dziś.

— Do dziś? — zdziwiłem się.

— Tak. Teraz ty o tym wiesz. A jesteś Łowcą, tak czy nie?

— No tak. — Nie byłem pewien, do czego zmierza.

— Więc... Potem... Potem po prostu padła martwa na podłogę; w miejscu jej serca pojawiła się wielka rana. A w środku nóż. Ja go jej nie wbiłam, po prostu się pojawił. Tak znikąd. — Jej głos drżał, lecz nawet nie próbowała nad nim zapanować. Zbyt silne emocje nią targały. Zawsze wiedziałem, że gdzieś pod tą skorupą bezwzględnej Łowczyni kryje się mała dziewczynka, po prostu nikomu jej nie pokazywała.

Spojrzałem na Veronikę; kobieta była blada jak ściana, jej źrenice tworzyły pionowe szparki. Wargi miała rozchylone, zastygłe w wyrazie zaskoczenia. Helodia odwróciła się i z powrotem usiadła.

— Jak się nazywała? — zapytała starsza kobieta spokojnym, prawie pustym głosem.

— Julia. Nie poznałam jej nazwiska.



Zacząłem łączyć fakty. Kiedyś przecież czytałem akta dotyczące samobójstw w określonej rodzinie. Należała do niej jakaś Julia. Ale skoro Helodia ma taki sam znak na plecach, jaki mnie zrobił Zachary... To niemożliwe...

— Bones — wyszeptałem osłupiały. Oczy prawie wyszły mi na wierzch.

— Co? — Helodia zmarszczyła brwi.

— Jej nazwisko — wyjaśniłem.

— Skąd możesz wiedzieć? — zapytała oschle dziewczyna.

Wstałem i pokazałem swoją lewą łopatkę, ściągnawszy lekko przygniecioną koszulę i odwróciwszy się tyłem do nich. Na mojej skórze widniał taki sam znak, jaki miała Helodia, tylko w przeciwieństwie do niej jaśniejszy od reszty ciała.

— Bo mnie Zachary zrobił to samo.

Uniosła brwi. Jej oczy zdradzały, że była zdezorientowana i nieco zagubiona.

— Zachary? Ten szarowłosy chłopak z twojej grupy treningowej? Zawsze milczący?

— Ten sam — przytaknąłem. — Julia Bones była jego siostrą aż do...

— ...swojego samobójstwa sześć lat temu — dokończyła za mnie Veronica. — Żądza zdobycia informacji przez Łowców doprowadziła do śmierci praktycznie całej rodziny. Właśnie dlatego nienawidzę Łowców. Niszczą i zabijają tylko dlatego, że potrzebują informacji. — Nieświadomie wypowiedziała słowa, które nawet całkiem niedawno wypłynęły z ust Zacharego. — Muszą wiedzieć wszystko o wszystkich i na wyłączność. Gdyby nie ta żądza wiedzy zatrzymanej tylko dla siebie, Łowcy i Bonesowie mogliby żyć w symbiozie, jak przed erą zmor.

— Nie wszyscy tacy są — zaproponowałem.

— Nie wszyscy, to prawda, ale ci najważniejsi owszem. — Spojrzała na mnie beznamiętnie.

— Niestety tak. Teraz musimy zastanowić się nad tym, co możemy zrobić — stwierdziła Helodia.

— Teraz... Teraz trzeba jakoś pogodzić Łowców i Bonesów. — Veronica potarła skronie. — Nawet jeśli sami pokonamy zmyry albo zrobimy to razem, ale pod przymusem, to nic nie da.

— Dlaczego? — zapytał Alex, nieśmiało wyglądając z korytarza. Za nim chowała się Annith. Powoli, niepewnie weszli do pokoju. Dziewczynka ukrywała się, wciąż niepewna zamiarów nieznanego.

— Zmyry powstały z popiołów... Ale jak powstały? To klótnie sprawiły, że zmyry odrodziły się takie, a nie inne.

Zmarszczyłem brwi.

— Odrodziły? To istniały wcześniej?

— Tak, tylko pod inną postacią. Pod dobrą postacią.

— Dobrą postacią? — powtórzyła z wątpliwością w głosie Helodia.

— Ventiny to takie istoty, które stanowią fundament naszego świata. Gdy stary świat się kończy, z jego popiołów odradzają się w jednej ze swoich postaci i sprawują pieczę nad nowym. Jedną z ich postaci jest zmora, uosobienie klótni. Dąży do spaczenia świata złem i czernią. Zmory zabijają dobrych ludzi, żywią się ich szczęściem i tęsknotą ich bliskich. Niektóre potrafią nawet wyssać z człowieka czy Łowcy całą radość i życie samym dotykiem.

— A ta dobra strona?

— Dobra strona ventinów nazywana jest marami.

— Właśnie, dlaczego ventiny? — spytał Alex, lokując się na moich kolanach.

— Ich charaktery i one same są zmienne jak wiatr. Mogą być lekkim wietrzykiem przyjemnie rozwiewającym włosy i chłodzącym twarz... Ale mogą być też niszczycielską wichurą, która demoluje drogi, zrywa dachy, burzy domy i bloki.

— I życie mieszkańców Ignis.

— Otóż to, Annie. Wracając, mary rodzą się, gdy na świecie panuje zgoda. Na przykład, kiedy nie ma sporów i pewnego rodzaju nawet wojen między Łowcami i Bonesami. Swoją drogą, to właśnie mary przekazały Łowcom wiedzę o swojej złej naturze i jak mogli z nią walczyć.

— A Bonesowie? Im nie powiedziały? — zdziwiłem się.

— Zmory, jak i mary, obie formy ventinów są bezwzględnie posłuszne naszemu rodowi. Prynajmniej były.

— Mamo, opowiesz o marach? — zapytała blondynka, siadając na kolanach Veroniki.

— Oczywiście, Annie.

Objąłem Alexa rękami w pasie. Przymknął oczy i położył głowę na moim ramieniu. Serce prawie wyskoczyło mi z piersi ze szczęścia. Staralem się uważnie słuchać słów pani Morningstar, ale nie do końca mi to wychodziło; moje myśli teraz zajmował jej syn.

Veronica zaczęła opowieść, która brzmiała jak przedziwna baśń.

— Mary były kobietami w lekkich i zwiewnych szatach połyskujących na wietrze. Wręcz promieniowały odbitym przez swoje ubrania światłem słońca. Miały jedwabne spodnie i bluzki. Oprócz tego obwiązane były tiulowymi, prześwitującymi szalami. Włosy miały w każdym kolorze, dosłownie. Od czerni po biel przez żółty, różowy, zielony i niebieski. Wszystko, co miały na sobie było w jednym kolorze. Były dobrymi duchami odradzającego się świata. One też zrodziły się z popiołów, a jednak tak bardzo różnią się od zmor...

— To tak jak ludzie — stwierdziła Annith. — Jedni odbierają życie, a inni je ratują.

I znów inteligencja tej młodej blondynki mnie zadziwiła. Tak jak rok temu, gdy widziałem ją pierwszy raz, w jej oczach był ten specyficzny błysk. Jakby cała wiedza świata na chwilę przebiegła przez umysł dziewczynki.

— Więc co teraz możemy zrobić? — zapytała Helodia, powoli rozplatając swoje warkocze.

— Czekać — odpowiedziała Veronica. — I wymyślić jakiś sposób na zgodę między Łowcami i Bonesami.

— Właściwie to co to było? To sprzed chwili? Jakieś zaklęcie? — spytałem.

— Owszem. Konkretniej wyjaśnić nie potrafię, ale zrozumiecie jutro o świcie.

Lekko zsunąłem Alexa ze swoich kolan i wstałem, by założyć uprząż i zakłute ostrza, które przytargała tu ze sobą panna Valentine. Zanim jednak zdążyłem zrobić choćby krok w stronę komody, na której leżały elementy munduru Łowcy, Helodia przycisnęła mnie do krzesła.

— Ty masz odpoczywać — warknęła, dociskając moją klatkę piersiową do oparcia.

Alex odskoczył od nas; z prędkością błyskawicy był już pod ścianą. Zawsze tak reagował, gdy Helodia zachowywała się agresywnie. Zazwyczaj nie był aż tak zestresowany i nie próbował jak najszybciej się ulotnić. Dobrze wiedziałem, że ma traumatyczne wspomnienia związane z tą dziewczyną. Annith schowała się za bratem. No tak, przecież panna Valentine była dla niej jeszcze kompletnie obcą osobą, więc podchodziła do niej z dystansem.

— Dobrze, dobrze, Helodio. Tylko nie strasz Alexa i jego siostry, ładnie proszę.

— Co do Alexa, zarówno on, jak i ty macie dziś leżeć w łóżkach! Nie dociera do was, jak wyglądacie?! — powiedziała głośno, patrząc na mnie gniewnie.

Spojrzałem na siebie, a potem na Alexa. Faktycznie, spod pogniecionych bluzek wystawały brązowoczerwone od zaschniętej krwi bandaże. Były przyklejone do skóry.

— Masz rację, nie najlepiej. Przy okazji, czy mogłabyś ze mnie zejść? Chyba przyda nam się zmiana bandaży.

— I zapewne prysznic — dodała Annith.

Alex się zaśmiał, ale natychmiast urwał. Zgiął się wpół, a rana przy jego ustach na powrót się otworzyła.

W jednej chwili zrzuciłem z siebie albinoskę i znalazłem się przy chłopaku. Zacisnął powieki i prawie osunął się na podłogę. Podparłem go. Oparł się na mnie całym swoim ciężarem, ale utrzymałem go. Po kilku sekundach wziętem biedaka na ręce i troskliwie ukryłem w swoich ramionach.

Bardzo się o niego bałem. Był wykończony, mimo że dopiero co wstaliśmy. To zadziwiające, jak tortury mogą zmęczyć człowieka. W oczach jego siostry widziałem niemą prośbę o opiekę nad chłopakiem. Muszę się o niego zatroszczyć, w końcu jest dla mnie całym światem. Nie wybaczyłbym sobie jego zaniedbania.

— Zajmę się nim — powiedziałem do matki szatyna, na co skinęła głową.

— Dobrze się nim zaopiekujesz, Thanielu. Jestem tego pewna.

Poszedłem w stronę pokoju chłopaka. Po drodze wstąpiłem jeszcze do łazienki i położyłem osiemnastolatka na ławeczce przy wannie.

— Umyj się, a ja pójdę po apteczkę. Zaraz wrócę do ciebie, Aleksiu. Uważaj na siebie. Nie przewróć się.

Tak się o niego martwiłem, że zostałem przy nim, ale... Nie chciałem mimo wszystko naruszać jego prywatności. Ostatni raz spojrzałem na niego z troską i miłością, po czym ruszyłem przez korytarz, zastanawiając się nad wyrazem twarzy Alexa. Widziałem, że kąciaki jego ust unosiły się lekko, jakby odczytując mój wzrok, pomimo że miał zamknięte oczy.

Będąc już w pokoju szatyna, przestawiłem jego łóżko na środek, żeby mieć lepszy dostęp do Alexa, gdy już go na nim położę. Wziąłem apteczkę z korytarza i położyłem na stoliku nocnym.

Wróciłem pod łazienkę, a po chwili wyszedł z niej Alex z mokrymi włosami, przylegającymi do twarzy, i klejącymi się do ciała ubraniami. Wziąłem go na ręce, ponieważ wciąż był słaby, i zaniósłem na łóżko.

— Poczekaj chwilę, zrobię ci herbatę, a ty w tym czasie zdejmij koszulkę. Gdy wrócę, to cię opatrzę.

— A co z tobą? — zapytał cicho.

— Mną się nie prze-... — Nie dał mi dokończyć.

— Właśnie będę się przejmował! Dbasz o mnie, doceniam to, ale nie możesz przy tym ignorować swoich potrzeb!

Usiadłem obok niego na łóżku i delikatnie objąłem mojego ukochanego.

— Oj, Aleksiu... Nie martw się tak o mnie.

— Będę! — powiedział uparcie. — Jesteś dla mnie ważny i nie pozwolę ci się zaniedbywać!

Przytuliłem jego głowę do siebie. Nikt przedtem nie wypowiedział w moją stronę takich słów. To było... Takie inne, ale miłe uczucie. Poczuliśmy się potrzebny, doceniony i ważny. Było to też wzruszające, zważywszy na to, że wypowiedziała te słowa osoba, która była bardzo ważna dla mnie, ponieważ stanowiła cały mój świat i była podstawą szczęścia.

— Jeśli chcesz, to możesz mnie opatrzyć, gdy już zaopiekuję się tobą i umyję.

— Chcę — powiedział stanowczo.

— Zaraz wracam, Alex.

Poszedłem do kuchni zrobić mu ciepłą herbatę, która na pewno mu nie zaszkodzi. W moim sercu po raz kolejny pojawiło się miłe ciepło.

Zależy mu na mnie...

— To takie cudowne uczucie. Wiedzieć, że komuś na tobie zależy — szepnąłem w stronę Alexa, gdy, klękawszy obok łóżka, otwierałem apteczkę.

Wziąłem przyniesioną razem z herbatą butelkę z wodą i namoczyłem nią czysty ręcznik. Delikatnie przyłożyłem mokry materiał do przyklejonych do skóry bandaży.

Odgarnąłem z twarzy szatyna kosmyki niesfornych i wciąż wilgotnych włosów, rozlewających się teraz na czerwonej poduszce. Nawet osłabiony Alex wyglądał pięknie.

Czerwień poduszki kontrastowała z zielenią jego oczu i uwydatniała je.

Chłopak zamachał mi dłonią przed twarzą. Na jego obliczu malowało się zaniepokojenie.

— Thaniel! Thaniel, halo! Wpatrujesz się we mnie od dobrych pięciu minut!

Zamrugałem i lekko potrząsałem głową, wrywając się z lekkiego otępienia.

— Och, przepraszam... Zapatrzyłem się.

Zdębiał. Jego oczy wytrzeszczyły się nieco, a brwi uniosły się wysoko do góry; usta lekko rozchylił, nie dowierzając mi. W końcu, po dość długim czasie, zamrugał i zapytał po prostu:

— Czyli...?

— Uważam, że jesteś piękny. Zapatrzyłem się na ciebie.

Zdjąłem ręcznik z jego piersi. Delikatnie odczepiłem resztę zaschłej krwi od bandaży i odłożyłem materiał na bok. Gdy sięgałem po wodę utlenioną, poczułem dłoń na policzku. Jego palec delikatnie musnął moje usta.

— Ty też jesteś piękny, Thanielu — szepnął Alex z lekkim uśmiechem.

Namoczyłem gazę płynem i przykładalem do każdej z jego ran. Szatyn syczał cicho z bólu, zdjawszy swoją dłoń z mojego policzka. Głaskałem go drugą ręką po włosach, by go uspokoić.

Gdy obmyłem głębokie rany, zszyte przez matkę Alexa, nieco podleczyłem je magią, tylko trochę, żeby nie wyczerpać swoich sił. Spłyciły się dzięki temu zabiegowi. Podniosłem chłopaka do półsiadu i zacząłem mocno, ale troskliwie obwiązywać jego ciało bandażami. Staralem się nim nie szarpać, ale i tak kiwał się na boki. Mocno zawiązałem końcówki materiału i pomogłem mu się położyć.

— Zaraz wracam, Aleksiu. Jak chcesz, to pij powoli herbatkę, a ja pójdę się umyć. — Czule pogłaskałem jego policzek i odgarnąłem kilka niesfornych kosmyków brązowych włosów za jego ucho.

— Dobrze. — Delikatnie przebiegł palcami po mojej dłoni. — Pamiętaj jedno. Zawsze i bez względu na wszystko.

— Tak?

— Jesteś dla mnie przede wszystkim troskliwym przyjacielem, a ja chcę nim być dla ciebie, bo jesteś dla mnie ważny. Najważniejszy. — Spojrzał głęboko w moje błękitne oczy, w których zaczęły pojawiać się srebrne plamki. — I zrobię wszystko, żebyś był szczęśliwy.

Przytuliłem jego głowę do siebie, a z oczu wypłynęła mi jedna łza. Alex widząc ją, ostrożnie przyłożył palec tuż pod nią, a kropla spłynęła na jego skórę.

— Kocham cię, Thanielu — szepnął.

Przez chwilę napawałem się jego słowami. Sprawiały mi taką przyjemność, że czułem, iż moje serce zaraz zrobi fikołka ze szczęścia, wyskoczy mi z piersi, wzleci pod niebo i, wykończony, w końcu wróci, żeby być blisko osoby, która była dla mnie całym światem.

— Ja kocham cię bardziej. I zawsze będę cię chronił, Aleksiu — odszepnąłem.

Położyłem go na powrót na materacu. Wstałem ostrożnie i cmoknąłem go w czoło niczym troskliwy ojciec. Nakryłem go kocem, a obok położyłem jedną z jego koszulek. Była zielona, a przy kołnierzu miała haft z jego imieniem i nazwiskiem w kolorze niebieskim.

— A właśnie, Aleks, mogę pożyczyć twoje ciuchy?

— Jasne, częstuj się.

Zaśmialiśmy się oboje. Śmiech Alexa był tak piękny, że gdy usłyszałem go po raz pierwszy, obiecałem sobie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby częściej widzieć uśmiech na jego ustach.

Wziąłem pierwsze lepsze dresy i niebieską koszulkę z krótkim rękawem, po czym skierowałem się do łazienki.

Ubrawszy spodnie po kąpieli, złapałem koszulkę i wróciłem do Alexa. Zdjęte po prysznicu, odmoczone bandaże dokładnie oczyściłem i powiesiłem na grzejniku. Wiedziałem, że Alex też mógłby to zrobić, gdy się mył, ale stwierdziłem, że lepiej zrobię to sam i poprosiłem, żeby ich nie dotykał.

Osiemnastolatek czekał na mnie przed drzwiami swojego pokoju. Już miał na sobie koszulkę. Idealnie współgrała z jego oczami.

— A teraz się kładź. Zajmę się tobą. — Jego wargi ozdobił nieśmiały uśmiech.

Posłusznie wszedłem do pokoju i położyłem na plecach na prześcieradle stojącego na środku pokoju łóżka.

Szatyn wziął gazę i namoczył ją w wodzie utlenionej; przyłożył materiał do skaleczeń i dokładnie je przemył. Szczypało niemiłosiernie, ale uśmiechałem się, patrząc na rozpromienioną twarz Alexa. Następnie zielonooki przytrzymał mnie w pólśladzie i owijał troskliwie bandażami.

— Możesz zacisnąć mocniej — powiedziałem, delikatnie miętolać w palcach jego włosy.

Bez słowa zaczął owijać mój tors mocniej, ale wciąż troskliwie, jakbym był z porcelany. Po chwili zawiązał materiał i delikatnie, stopniowo pochylał mnie na łóżko, podkładając poduszkę pod głowę.

Gdy już całkiem leżałem na materacu, odgarnął mi włosy z twarzy i sięgnął po koc.

Okrył mnie cienkim, gładkim w dotyku kocikiem troskliwie. Materiał był miutki; wyszyto na nim dwa koty... Właściwie to jeden bardziej przypominał niebieskookiego lisa polarnego. Drugi miał ciemną sierść i jasną gwiazdę na grzbiecie. Patrzył na mnie zielonymi, inteligentnymi oczami. Oba zwierzątka leżały wtulone w siebie na zielononiebieskim tle.

— Śpij, Thanielku.

— Tylko jeśli tu zaśniesz. — Odchyliłem zapraszająco koc. — Chodź do mnie.

Chłopak z uśmiechem wczołgał się między moje ramiona. Objąłem go czule i obróciłem się na plecy. Alex leżał na mojej piersi. Na powrót przykryłem nas miękkim materiałem. Chciałem już zawsze otaczać go czułością, zawsze się o niego troszczyć i dbać, by nic nie zagrażało jego szczęściu. Sam byłem szczęśliwy, dając mu szczęście.

— Śpij, Aleksiu — szepnąłem. — Kocham cię.

Już prawie zasypiałem, gdy usłyszałem cichą odpowiedź, która sprawiła, że ogarnęło mnie wewnętrzne ciepło.

— Ja ciebie też kocham...

— Nikomu się do tego nie przyznam, ale uwielbiam być twoim materacem. Dobranoc, skarbie.

Zasnąłem z uśmiechem na ustach, tuląc do siebie najważniejszą osobę mojego życia.

Widziałem kobietę w klatce strzeżonej przez cztery zmary. Miała na sobie postrzępione, wyblakłe ubrania; krótki, sztywny top był pogięty, a wiele miejsc po kamieniach szlachetnych w jej stroju było pustych. Próbowwała się wydostać. Mówiła coś, ale jej głos słyszeć było jak przez mgłę — przytłumiony, ale dość zrozumiały. Ręce były skute łańcuchami i poranione, oczy pozbawione blasku. Po jasnych policzkach spływały kryształowe łzy. Usta miała sinawe, została na nich tylko resztką dawnego malinowego koloru. Szyję zdobiła krwawa pręga, przechodząca również przez ramiona. Krzywiła się z bólu z każdym słowem.

~ Uratuj nas!

Pochodnie w ścianach nagle się zapaliły. Zobaczyłem kolejne kobiety. One również były zabiedzone. Posiniaczone ciała i blade twarze doskonale dawały o tym znać. Dotarło do mnie, że były to mary i, choć zabiedzone, nadal były duchami dobra. A to, że w tak złym stanie, świadczyło tylko o stanie tego przesiąkniętego egoizmem i kłótniami świata.

Ktoś na mnie wpadł. Złapałem owego ktosia, zanim upadł na kamienną posadzkę. Przez miękki materiał koszuli wyczułem blizny i rany. Znałem je. Sam opatrywałem je nie tak dawno temu.

— Alex? — Podniosłem go do pionu. — Co ty tutaj ro-...?

Przerwał mi rozpaczliwy krzyk mar. Aż włoski zjeżyły mi się na karku, tak przeraźliwie wysokie dźwięki z siebie wydawały.

~ Uratujcie nas!

— Jak mamy to zrobić?

~ Uwolnijcie nas z więzów naszych umysłów!

Zmary zaczęły się zbliżać. Ukryłem Alexa w swoich ramionach.

— Uratujemy, obiecuję. Pokonamy zmary i przywrócimy do postaci, jakie im odebrano. Przywrócimy w a s.

Kobieta, której strzegły aż cztery zmary, uśmiechnęła się słabo.

~ Uratuj mój lud. Wybaw nas.

Otworzyłem powoli oczy. Zamrugalem. Brązowe włosy wchodziły mi do oczu. Chwila... Brązowe? Spróbowałem się podnieść. Teraz do mnie dotarło, że jestem czyimś materacem. Czyimiś, a konkretnie właściciela brązowych kłaków.

Alex. Ucałowałem go lekko we włosy, przymknąwszy oczy.

— Śpij, Aleksiu. — Położyłem rękę na jego piersi i delikatnie ją gładziłem. Czulem, jak unosi się i opada. Nasze oddechy były spokojne, a nie urywane.

Przylapałem się na tym, że dostosowałem swój oddech do tego Alexa, ale jakoś mi to nie przeszkadzało.

Zasnąłem szybciej, niż się spodziewałem, a potem pamiętałem tylko jedno — to był przyjemny sen.

Co mnie obudziło? Klucie pod żebrami. Zaspany otworzyłem oczy, by ujrzeć zarumienioną twarz osiemnastoletniego szatyna. Mimowolnie się uśmiechnąłem.

— Dzień dobry, A-...

— Nawet nie wiesz, jak długo czekałem, żeby cię tak obudzić. — Uśmiechnął się niewinnie. — Zwykle to ty budziłeś mnie w ten sposób, pamiętasz?

— Pamiętam, Aleksiu. Uwielbiałem cię tak budzić. Miałeś wtedy taki piękny róż na policzkach... — Objąłem go lekko w pasie. — Uwielbiam budzić się przy tobie, Alex — szepnąłem. — I uwielbiam budzić ciebie. Widzieć twój słodki rumieniec już od pierwszych chwil dnia. Poprawia mi humor. Ty poprawiasz mi humor, Aleksiu. — Nie kłamałem; każdy jego uśmiech, nawet najmniejszy rumieniec skutecznie odpędzał ode mnie smutek. Tak jak teraz czułem się na swoim miejscu.

W odpowiedzi położył głowę na moim ramieniu i wtulił twarz w zagłębienie mojej szyi. Chyba zapomniał, że mam tam łaskotki.

— Aleks, t-to łaskocze...

— Doprawdy? — Uśmiechnął się, na chwilę odrywając twarz od mojej skóry. Zaraz jednak znów przysunął nos i usta do tego strategicznego punktu, jakby koniecznie chciał mnie tak torturować, a ja nie miałem serca go odepchnąć. — Ja mam gorzej — powiedział cicho po chwili. Muskał wargami moją szyję. — Nie cierpię budzić się bez ciebie.

Położyłem ręce na jego plecach, przytuliłem delikatnie i zbliżyłem usta do jego ucha. Chciałem go bronić i dbać o chłopaka. Jak najczęściej zmieniać jego smutek w radość. Niby proste słowa, a dla mnie znaczyły więcej niż najdroższy prezent.

— Obyś nigdy nie musiał.

Nieśmiało położył swoje ręce na moich kolanach; jedną ze swoich dłoni położyłem na jego prawej ręce. Alex splótł nasze palce.

— Jesteś dla mnie najważniejszy — szepnął. — Bardzo mi na tobie zależy...

— Co ci się śniło? — zapytałem ni z tego, ni z owego, bawiąc się jego palcami.

— Nie jestem pewien, ale chyba mary. Były w klatkach, a wokół nich... Wokół nich było pełno zmor. Pilnowały mar. Gdy te usiłowały się wydostać, biły je po rękach. Cały czas biegłem w jednym kierunku, mijając kolejne uwięzione postacie. Wtedy wpadłem na kogoś. To byłeś ty. Razem obiecaliśmy marom, że je uratujemy, uwolnimy spod władzy zmor.

— Aleksiu... Wygląda na to, że mieliśmy ten sam sen... Tylko widziany z różnych perspektyw. — Ciężko mi było uwierzyć, że coś takiego jest możliwe, ale najwidoczniej tak się stało. Po wyrazie twarzy Alexa poznałem, że jego także to dziwi, ale uniesione brwi i szeroko otwarte oczy nie przeszkodziły uśmiechowi we wtargnięciu na jego usta.

— Zrobimy śniadanie? — zapytał radośnie chłopak, który mógł się poszczycić mianem całego mojego świata.

— Mam nadzieję, że nie spalę kuchni. Jedyne, co umiem gotować, ma postać płynną i jest znane pod nazwą tlenek wodoru.

Tłumił śmiech. Niespecjalnie mu to wychodziło, słyszałem jego chichot.

— Śmieję się, śmieję, ale gotowanie wody to niezbędna umiejętność! — oburzyłem się.

Alex pstryknął mnie w nos. Zamrugalem zaskoczony.

— Jesteś uroczy — stwierdził.

— I w dodatku twój na własność. Zawsze będę się o ciebie troszczyć i dbać. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

— Będę. Póki będziesz obok, ja będę szczęśliwy. — Położył swoją głowę na moich kolanach. Spojrzał na mnie, a jego włosy rozplywały się na jasnych spodniach od dresu. Pogłaskałem go po głowie. — Więc mnie nie zostawiaj.

— Nie zostawię nigdy. Zbyt wiele dla mnie znaczysz. Zbyt wiele znacę dla ciebie — powiedziałem pewnie. Tak pewnie, jakbym mówił, że w tym momencie oddycham i żyję.

Alex nie potrzebował słów, by to potwierdzić. Splecione dłonie i ufne spojrzenie wystarczyły. Nawinałem sobie jego włosy na palec; były mięciutkie i gładkie. Piękne. Bawiłem się nimi i przeplatałem je między palcami.

— Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, Aleksiu, ale... Potrzebuję cię.

Podniósł dłoń do mojego policzka i pogłaskał go czule.

— Ja też cię potrzebuję, Thanielu. Bardzo.

Przytuliłem go delikatnie, ale próbowałem przekazać tym jak najwięcej miłości, troski i zaufania. Chciałem przekazać mu jak najwięcej siebie w tym czułym geście.

— Jesteś fundamentem mojego szczęścia — powiedzieliśmy prawie równocześnie.

Poczułem, jak policzki mnie palą; Alex miał je jeszcze bardziej rumiane niż zwykle. Jego usta zdołał delikatny uśmiech.

— To jak, wstajemy? — zapytałem.

— Jeszcze chwilka — mruknął, przymykając oczy i układając się wygodniej na moich kolanach.

Zaśmiałem się cicho i oparłem o ramę łóżka.

— Początkowo, gdy Helodia cię znalazła, wziąłem cię za dziewczynę — szepnąłem. — Byłeś tak kruchy, tak delikatny... Przysiągłem sobie, że za wszelką cenę będę cię chronił. Teraz jesteś silniejszy, a ja coraz bardziej się starzeję. Jeszcze chwila, a to ty będziesz bronił mnie.

— Chroni mnie. — Znów złączył nasze palce. — Chcę się z tobą zestarzeć.

— Będę. Zawsze. Jesteś moim największym skarbem, a skarbów się broni. I dziękuję.

— A ty... Jeśli będziesz czuł się niepotrzebny, to pamiętaj... Pamiętaj, że zawsze jest i będzie ktoś, kto cię potrzebuje... Ktoś, dla kogo będziesz sensem życia...

Z moich oczu popłynęły dwie małe łzy wzruszenia i szczęścia. Po krótkiej chwili było ich już znacznie więcej.

— Pamiętaj, że zawsze, gdy będziesz czuł się samotny i opuszczony, zawsze, zawsze, zawsze będziesz mógł się zwrócić do mnie.

Dostrzegłem, że jego zielone oczy błyszczą od słonych kropli.

— Gdy będziesz myślał, że nie został ci już nikt... Ja będę tuż obok ciebie... Kocham cię i chcę, żebyś wiedział, że zawsze będę gotowy ci pomóc. We wszystkim.

Przytuliłem jego głowę do siebie.

— Gdy będziesz myślał, że nie masz już nikogo... Że nie masz wyjścia innego, niż życie samemu, zostanę przy tobie, choćby się waliło i paliło. Zawsze zostanę.

Łzy płynęły mi z oczu. Te słowa... Były tak piękne... Chciałem je pamiętać do końca życia. Chciałem je nosić w sercu każdego dnia i słyszeć codziennie z tych pięknych ust mężczyzny, którego kocham. Chciałem je zawsze kojarzyć z tą specjalną, najważniejszą dla mnie osobą.

— Kiedykolwiek, gdy będziesz przy mnie... Będę czuł się najszczęśliwszy na świecie. Tak jak teraz. Nigdy nie będę samotny, mając cię obok. Nigdy nie pomyślę, że nie został mi już nikt, gdy będziesz przy mnie...

~12~

Delikatnie otarłem łzy chłopaka. Objął mnie drżącymi rękami. Jego słowa wypełniały teraz całego mnie. Były tak czułe... Trafiały w sam środek mojego serca i rozgrzały je; były dla mnie cenniejsze niż najcenniejszy skarb, zwłaszcza z ust tego konkretnego szatyna.

— Nie obchodzi mnie, co myślą mieszkańcy Ignis — szepnął. — Jeśli to nie jest miłość, to ona nie istnieje. Jeśli to nie jest głęboka więź pomiędzy dwoma osobami, to nie wiem, co nią jest.

Podniosłem jego ciało i przytuliłem do siebie. Położył głowę na moim ramieniu i spojrzał mi w oczy.

— Potrzebuję cię. — Przeczesałem jego włosy dłonią. — Z kim się będę budził? O kogo będę się troszczył? O kogo będę dbał? Kto będzie mnie przytulał i pocieszał? Kto będzie przy mnie mimo wszystko?

— Ja — powiedział cicho. — Zawsze.

Poczułem, że coś mnie unosi. Spojrzałem pod siebie; wisiałem dobre dwadzieścia centymetrów nad łóżkiem. Razem z Alexem zaczęliśmy sunąć w powietrzu w stronę wyjścia na korytarz, a następnie do kuchni. Chłopak trzymał mnie za ręce, a jego głowa leżała na mojej piersi; miał przymknięte oczy, a na czoło wtargnęły mu brązowe kosmyki. Wyplątałem jedną dłoń z jego uścisku i zgarnąłem je z jego skóry.

Stałem pewnie na podłodze już po kilku minutach, postawiwszy na niej Alexa.

— Czy ty dajesz mi do zrozumienia, że powinniśmy zrobić coś do jedzenia, Alex?

— Może gofry? — Uśmiechnął się niewinnie. — Pomogę ci.

— To jakie składniki? — zapytałem z uśmiechem. Nie miałem pojęcia, czym są owe gofry, ale skoro Alex je zaproponował to musiały być pyszne. Widmo ostatnich dni zaczęło odchodzić gdzieś w głąb mojego umysłu.

Alex dyktował mi przepis, a ja łączyłem produkty zgodnie z jego instrukcją. Wsluchiwałem się w jego ciepły głos. Gdy wlałem gotowe ciasto do gofrownicy, zerknąłem za okno. Słońce jeszcze nie pokazało się na nieboskłonie. Zostało około godziny do wschodu.

— Wypalicie się za wsze czasy. — Helodia stanęła za nami, opierając się o stół. — Odpoczywaliście prawie cały dzień i noc aż dotąd. — Przerwała na chwilę. — Ale to dobrze. Musicie dojść do siebie. — Uśmiechnęła się krzywo. — Jak rany?

— Nie jest tak źle. Jeszcze może ze dwa dni i dam radę wyleczyć nas obu magią.

— Zrobiłabym to sama, ale ledwo zdołałam uleczyć siebie, zanim tu dotarłam. — Na jej twarzy zagościł cierpiętniczy wyraz. Spuściła głowę. — Przepraszam.

— Nie mam do ciebie o to żalu, Helodio. — Nałożyłem gofry dziewczynie i Alexowi. Nalałem kolejne.

— Thanielu, ty też zjedz. — Szatyn przekroił swojego gofra na pół i jedną z dwóch części położył na talerzu przeznaczonym dla mnie. Swoją część rumianego ciasta posmarował

dżemem truskawkowym, a przynajmniej tak było napisane na słoiku, i położył łyżeczkę na moim kawałku.

— Przecież zaraz będę miał swojego, Aleksiu.

Ta troska mnie rozczuliła. Tak jakoś ciepło mi się na sercu zrobiło, gdy zauważyłem, jak bardzo się o mnie troszczy. Dlaczego wcześniej nie zauważałem tych wszystkich małych rzeczy, którymi ciągle mnie obdarowywał? Chociażby troski o zdrowie? Zakaz picia eliksirów energetycznych zamiast snu?

— Zjedz. Inaczej ja nie zjem.

Przewróciłem oczami, choć w głębi serca bardzo dobrze się czułem, gdy się mną opiekował, nawet w taki sposób. Usiadłem obok niego. Gdy miałem wziąć kawałek puszystego ciasta do ust, usłyszałem kliknięcie, oznajmiające, że druga porcja jest już rumiana i paruje w gofrownicy, czekając na zjedzenie. Wstałem i nałożyłem jednego sobie, a drugiego Annith, która właśnie siadała do stołu, pokroiwszy jabłka dla całej naszej czwórki.

— Naprawdę nie mogę się nadziwić samodzielności tej ośmiolatki — westchnąłem.

Alex wprosił mi się na kolana i zbliżył widelec z gofrem do moich ust.

— Leci samolocik, leci! Otwórz buzię — powiedział słodko.

Zaśmiałem się. Otworzyłem usta, pozwalając chłopakowi mnie nakarmić. Ciasto było miękkie, smakowało trochę jak waniliowa papka z Podziemia, ten smak cudownie przeplatał się z owocową nutką truskawki.

— Wyszły pyszne — stwierdziłem, gdy zjadłem ostatnią daną mi przez mojego ucznia porcję. Pstryknął mnie w nos.

— No oczywiście, że pyszne. Przecież robiliśmy je razem.

Przytuliłem go sobie do serca. Nieważne dokąd pójdzie, zawsze będzie tam mieszkał. Zawsze znajdę dla niego miejsce w swoim życiu. Zawsze. Zawsze znajdę dla niego czas.

— Chcę być przy tobie, Aleksiu... Będę zawsze, gdy o to poprosisz. — Te słowa płynęły tak po prostu z moich ust. Jakby serce przemawiało przez moje ciało.

Wtulił twarz w zagłębienie mojej szyi. Otuliłem go ramionami z troską.

— Jeśli zechcesz, Thanielku... — szepnął — to zostanę twoim chłopakiem. — Nieśmiało cmoknął mnie w policzek, uniósłszy nieco głowę. — Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Dziś trzynasty kwietnia.

W moich oczach pojawiły się łzy wzruszenia i szczęścia. Nie mogłem uwierzyć, że zapamiętał datę, o której wspomniałem ledwo raz. Tym razem czułem radość z powodu tego dnia, nie poczucie winy za śmierć tamtej kobiety, która oddała za mnie życie, nie zwątpienie, czy nie zrobiła tego na darmo, nie smutek z powodu cierpienia Claudiusa, który również wspominał swoją narzeczoną w ten dzień.

— Pamiętałeś... A przecież ja ci to mówiłem rok temu!

— Zależy mi na tobie. Przez całe zeszłoroczne szkolenie myślałem tylko o moim mentorze. O jedynej osobie, która była w stanie osiąść moje serce na własność — szepnął czule.

Po moich policzkach już spływały łzy wzruszenia i radości. Przytuliłem jego głowę do siebie.

— Chcę, Aleksiu. Chcę, żebyś został moim chłopakiem. — Pogłaskałem go po włosach. — I ja chcę być twoim. Chcę być przy tobie i zawsze cię wspierać we wszystkim. Chcę cię chronić przed wszystkim, co mogłoby cię skrzywdzić. Chcę dawać ci szczęście i dbać o ciebie.

Charakterystyczny klik powiadomił mnie o kolejnej zrobionej porcji gofrów. Nie miałem serca zrzucić z siebie Alexa i już miałem prosić Helodię o wyjęcie dwóch pachnących wanilią wypieków, gdy chłopak szybko zszedł ze mnie i wyjął rumiane już ciasto. Nalał ostatnią porcję i coś majstrował przy gotowych gofrach. Postawił je przed piętnastoletnią albinoską i mną. Spojrzałem na talerz; ujrzałem na nim dwa serduszka wycięte z ciasta i czerwone od malin, właściwie to jakiejś różowoczerwonej papki, na której leżały małe kuleczki w podobnym odcieniu. Kiedyś Alex pokazywał mi podobne owoce na krzakach w Ignis.

Szatyn wprosił mi się na kolana i objął mnie czule. Jego dotyk był delikatny, taki nieśmiały... A jednak tak pewny. Mój dotyk uspokaja Alexa, a ten jego na mojej skórze... Daje mi szczęście.

Położyłem swoje dłonie na jego plecach. Pod cienkim materiałem koszulki wciąż wyczuwałem rany, szwy i blizny.

Mimowolnie do oczu podeszły mi łzy, a kilka skapnęło na koszulkę chłopaka. Otarł mi słone krople z policzków.

— Już dobrze, Thanielku — szeptał. — To nic takiego. Już prawie nie boli. — Uśmiechnął się delikatnie. Wierzyłem, że nie kłamie, tak jak mi obiecał rok temu.

W tej chwili poczułem pierwsze promienie porannego słońca na twarzy. Spojrzałem za okno. Nagle czyste dotąd niebo przeszył błysk, który na moment oślepił wszystkich w pomieszczeniu, w którym się znajdowałem. Nawet dziewczyny, siedzące tyłem do okna przy sześćcioosobowym stole, zamknęły oczy odruchowo.

Gdy blask osłabł, o mało nie odskoczyłem na drugi koniec małej kuchni.

Pod oknami stały dwie osoby, które uważałem za martwe... A śmierć jednej z nich widziałem na własne oczy ledwo kilka dni temu.

~13~

Długie, popielate włosy falami spływały po ramionach niższej postaci. Różowe tęczęwki, twarz jasna i rumiana. Długie rzęsy współgrały z mocno zarysowanymi, ciemnymi brwiami; sylwetkę miała szczupłą, ale nie wychudzoną. Na ramiona narzucony ciemny materiał, przypięty jakoś do rękawów wyjątkowo kolorowej sukienki; rękawy i górna część przy dekolcie były czarne, a później stopniowo przechodziły w kolorową mieszankę barw. Trudno było zobaczyć, gdzie kończy się jedna barwa, a zaczyna druga. Materiał rozkloszowanej, kolorowej sukienki kończył się nieco poniżej kolan, a zaczynały białe, cienkie rajstopy. Na stopach miała czarne, niewysokie obcasy zapinane na szeroki pasek na wysokości kostki.

Helodia i Annith jeszcze przecierały oczy.

Spojrzałem na drugą z postaci; przydługie szare włosy opadające na oczy i czoło mogły należeć tylko do jednej osoby. Chorobliwie blade ciało nie było już tak wychudzone, jak wtedy, gdy widziałem tego człowieka po raz ostatni.

Poczułem pieczenie na łopatce, ale zignorowałem je, wciąż wpatrzony w dwie postacie.

Skórę siedemnastoletniego chłopaka znaczyły blade blizny i czerwone kreseczki jeszcze niezagojonych ran. Miał na sobie wyciągniętą, czarną koszulkę z nadrukiem białego miecza, którego klinga przechodziła przez jedno oko symbolu nieskończoności w tym samym kolorze, oraz szare spodnie. Uśmiechał się; odkryłem, że podczas tego w jego policzkach pojawiają się dołeczki. Wcześniej nie można było tego dostrzec, bo jego policzki były zapadnięte, a on sam nie słał uśmiechów na prawo i lewo. Przedtem wcale się nie uśmiechał.

Alex szturchnął mnie w bok. O dziwo, nie poczułem bólu, jaki wcześniej dawała mi rana, ba, zamiast rany wyczuwałem tylko długą bliznę. Miałem niejasne wrażenie, że miało to związek z owym pieczeniem w okolicy znamienia, jakie kilka dni temu zostało wyryte na mojej skórze za sprawą Zacharego.

— Tak, Aleksiu? — Spojrzałem na niego, oderwawszy wzrok od dwójki cudem ożywionych nastolatków.

Nie dostrzegłem na ciele mojego chłopaka żadnej rany, jedynie pełno blizn. Przytuliłem go mocno do siebie; na jego plecach i żebrach nie wyczułem ran ani szwów, które jeszcze godzinę temu szpeciły jego skórę i sprawiały mu ból. Bardzo, bardzo się cieszyłem, że Alex już nie będzie cierpiał.

Zerknąłem także na siebie. Na mojej skórze zostały tylko blizny i pomniejsze rany w miejscu poprzednich głębokich cięć. Nie mogłem w to uwierzyć, ale najwyraźniej to światło, które przywołało tu Bonesów, uleczyło nas.

— To... Zachary? — spytał szeptem.

Niepewnie kiwnąłem głową. Dwójka stojących pod oknem postaci zachowywała się swobodnie, jakby spotkali dawno niewidzianego przyjaciela. Uśmiechy na ich ustach były szerokie i pewne; w ich oczach tańczyły iskierki, a włosy lśniły w promieniach wschodzącego słońca.

Kątem oka zauważyłem, że Helodia powoli odwraca się w stronę okna. Wargę zaczęła jej drżeć, a źrenice się rozszerzyły. Oczy zaszkliły się; mrugała szybko, nie chcąc pozwolić łzom wypłynąć. Jej klatka piersiowa unosiła się zdecydowanie zbyt szybko, by można to było uznać za normalne.

— J-j-julia... — wyjąkała słabo „demonica” o białych włosach. Dziewczęca postać spod okna podeszła do niej sprężystym krokiem i porwała ją w swoje ramiona. Helodia nie dała rady, rozpląkała się i wtuliła w ramię starszej. — J-juliś, myślałam, że nie żyjesz! — łkała ze wzruszenia.

— Żyję, kochana, żyję. Teraz już tak. Wiedziałam, że jesteś silna, Helusiu. Zawsze wierzyłam, że sobie poradzisz — szepnęła Julia, czule tuląc swoją przyjaciółkę do serca. Jej czarnoszare włosy opadły na plecy Łowczyni, ukrywając łzy, które zapewne zdobyły policzki obu dziewczyn.

Zachary powoli podszedł do mnie i Alexa. Wciąż się uśmiechał, co było niecodziennym widokiem.

— Dziękuję, Thanielu. — Przysunął sobie krzesło i usiadł obok mnie i Alexa. Jego głos był ciepły; nie przypominał jego sposobu mówienia sprzed kilku dni. Mimowolnie się uśmiechnąłem. W Podziemiu był jakby wyzuty ze szczęścia, a teraz wręcz nim emanował. — Dziękuję, że zaopiekowałeś się Alexem. Wiem, że zawsze będziesz go bronił.

Ja też to wiedziałem. Będę go bronił ile dam radę, będę chronił zawsze, kiedy będę mógł. Był dla mnie najcenniejszym skarbem. Tą częścią mojego świata, której nie pozwolę sobie odebrać. Spojrzałem na mojego ukochanego.

— Zawsze będę gotów cię bronić, Aleksiu.

Jego oczy błyszczały miłością. Miłością skierowaną do mnie. Prawie rozpląkałem się ze szczęścia.

— Jeśli będziesz mnie potrzebował, zawsze znajdę się obok ciebie. Gdziekolwiek będziesz. Po prostu poproś.

— Jesteś... — Wtulił się we mnie.

— Nie musisz nic mówić, Aleksiu. I tak wiem, co chcesz powiedzieć. „Jesteś beznadziejny w gotowaniu”.

Parsknął śmiechem. I ze sto razy jeszcze powtórzę taki nedorzeczny żart jak ten, by tylko usłyszeć ten dźwięk, piękniejszy niż wszystko, co kiedykolwiek usłyszałem. Delikatnie głaszcząc jego skórę, złapałem go za rękę.

— Nie! — powiedział, opanowawszy głośny śmiech do cichego chichotu. — Jesteś...

Znów mu przerwałem.

— Twoim prywatnym ochroniarzem.

— Nie! — Znów zaśmiał się głośniejsze, a ja chciałem ze szczęścia wlecieć pod sufit. — Jesteś najcudowniejszym mężczyzną, jakiego znam.

Jego słowa były dla mnie muzyką, a ich sens napawał mnie wewnętrznym ciepłem oraz poczuciem bycia kochanym i potrzebnym.

— Mógłbym ci powiedzieć to samo. Kocham cię, Aleksiu.

Czułym gestem zmierzwiłem jego włosy i złączyłem nasze czoła. Alex objął moją szyję i przyciągnął do siebie; nasze usta znajdowały się o milimetry od siebie.

— I nie pozwolę nikomu tego zmienić.

Mój oddech muskał jego wargi, a chłopak rumienił się ogniście. Złapałem go w pasie i przytuliłem sobie do serca.

— Nie pozwól — wyszeptał.

Jego wargi nienachalnie muskały moje; były tak miękkie i delikatne... Zatraciłem się w tym przelotnym dotyku jego ust na swoich. Zapragnąłem więcej.

Złapałem jego podbródek drugą ręką, unosząc go; spojrzałem z miłością w jego oczy.

— Kocham cię — powiedziałem cicho, łącząc nasze wargi w nieśmiałym pocałunku.

Alex nie odsunął mnie od siebie, wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej mnie przyciągnął. Jego usta były ciepłe; chłonałem chciwie ich smak, aż zabrakło nam powietrza. Wówczas delikatnie odsunąłem twarz Alexa od swojej; chłopak mógł usłyszeć mój przyspieszony oddech i zobaczyć srebrne plamki w moich niebieskich oczach. Nie czekając ani chwili dłużej, wprosił mi się na kolana i pocałował mnie jeszcze raz.

Zatraciłem się w tym uczuciu, w odczuwaniu jego warg na swoich już po raz kolejny. Przekazywał tym wszystko, co dotąd ujmował tylko słowami. Potrzebę czucia mnie przy sobie, miłość, jaką mnie darzył, troskę o moje zdrowie i przywiązanie, które czyniło nas praktycznie jednością. Oboje wiedzieliśmy, że jeden stanowi część życia i duszy drugiego. Nie wyobrażaliśmy sobie życia bez siebie.

Zamknąłem oczy. Chciałem, żeby to uczucie pochłonęło całego mnie. Gdy w końcu oderwaliśmy się od siebie, wyszeptałem tylko jedno zdanie:

— Nie żałuję, kochany.

Na powrót złączyłem nasze czoła i dłonie. Chciałem już zawsze gładzić jego delikatną skórę, teraz poznaczoną bladymi bliznami, ale wciąż piękną. Już zawsze chciałem czuć na swoich tylko jego usta.

Annith siedziała cicho, pozwalając cieszyć się chwilą mnie, Alexowi, Helodii i Julii. Zachary patrzył na nas z uśmiechem.

Czas jakby przestał biec; dla mnie teraz liczył się tylko Alex.

Istniały tylko jego dłonie, miękkie włosy i szczupła sylwetka. Coraz większe mięśnie, silne ręce obejmujące mnie... Delikatny dotyk jego palców na mojej skórze... Mógłbym trwać tak wiecznie. Nigdy nie puszczać jego ciała, zasypiać przy nim, trzymając tego najważniejszego dla mnie szatyna za dłoń. Chciałem budzić się przy Alexie i dzielić z nim moje dni; całować jego dłonie na powitanie i porywać osiemnastolatka w swoje ramiona.

W swoich ramionach trzymałem teraz cały mój świat.

Alex.

Jedno imię, jedna krucha istota, a jednak fundament mojego szczęścia.

Nie wiem, ile minęło czasu; ja i szatyn po prostu chłonęliśmy siebie. Z zamkniętymi oczami rozkoszowaliśmy się wzajemnym dotykiem. Moje dłonie delikatnie gładziły jego zabliznione, choć wciąż piękne ciało. Próbowałem go zapamiętać, żeby już zawsze mieć chłopaka przed oczyma. Czułem jego spokojny i równy oddech na swojej szyi; łaskotało mnie to, więc chichotałem cicho.

Po kolejnych kilku minutach nie wytrzymałem i zacząłem się śmiać.

— A-a-alex! — mamrotałem, na wpół się śmiejąc, na wpół płacząc. — P-przecież mam łaskotki! — Otworzyłem oczy.

— Naprawdę? — zapytał, śmiejąc się. Zszedł ze mnie, ale już wyczuwałem, że to tylko cisza przed burzą.

Prawie natychmiast pociągnął mnie na podłogę i usiadł mi na biodrach, skutecznie mnie unieruchamiając. Po chwili zaczął łaskotać najwrażliwsze obszary mojego ciała. Śmiałem się tak głośno, jak tylko mogłem; wierciłem się pod szatynem, a oczy miałem załzawione ze śmiechu.

— A-alex! P-przestań! — zacząłem cicho krzyczeć; nie panowałem nad oddechem. Delikatne palce szatyna łaskotały mnie, nawet przez koszulę czułem jego dotyk. — B-błagam! M-m-miejże li-itość!

Po jeszcze pięciu minutach, które dla mnie były wiecznością, zlitował się nade mną i zaprzestał tortur. Pomógł mi się podnieść do siadu.

— Jeszcze się zemszczę — warknąłem gniewnie, ale na moich ustach był uśmiech.

Alex roześmiał się tylko; wiedział, że nie umiem się na niego złościć, przynajmniej niezbyt długo. Jego śmiech znów przywołał bezpodstawną radość i szczęście. Cieszyłem się, że razem przeżywamy ten dzień. Złapał mnie za rękę i podciągnął z nagrzaną już od mojego ciała podłogi z białych kafelków.

— Kocham cię, Aleksiu... — powiedziałem do chłopaka czule, odgarniając za ucho niesforny kosmyk jego włosów. Wsunąłem w nie nos; objąłem ich właściciela ramionami i przytuliłem do siebie.

— Wiem — odpowiedział szeptem. Przysiagłbym, że się uśmiecha. — Ja ciebie też.

Serce zaczęło mi szybciej bić, jak zawsze, gdy słyszałem z tych pięknych, różowiutkich i miękkich ust podobne słowa. Trafiały wprost do mojej duszy.

Poczułem, jak dobrze mi znane dłonie wędrują po moim ciele, żeby spocząć na plecach nieco pod łopatkami. Chłopak przyciągnął mnie do siebie.

Spojrzałem nad nim w stronę okna; słońce było już wysoko. Helodia wciąż stała przy Julii, która ją obejmowała i lekko kołysała w swoich ramionach. Albinoska wciąż płakała w ramię ciemnowłosej dziewczyny; wciąż była wzruszona powrotem swojej przyjaciółki.

— Jestem, Helusiu, jestem. Zawsze byłem — mówiła wyższą uspokajającym tonem. — Zawsze byłem przy tobie i chroniałam cię. Jestem z ciebie taka dumna... — szeptała. — Dotarłaś tak daleko... Tak daleko możesz jeszcze dotrzeć... Uratowałaś tyle istnień... Tyle

jeszcze uratujesz... Doszłaś do tego wszystkiego sama... Jesteś silna, Helusiu, zawsze to wiedziałam.

— J-juliś... — szepnęła białowłosa, oddalając się nieznacznie od dziewczyny, tylko na tyle, żeby spojrzeć jej w oczy. — Nie umieraj więcej.

— Annie, gdzie mama? — zapytał Alex po chwili.

— Tutaj jestem, Alexandrze Morningstar — odezwał się kobiecy głos za nami, u wejścia do kuchni. Odwróciliśmy się. — I muszę przyznać...

Na jej słowa zestresowałem się lekko; jeśli widziała to wszystko, to raczej nie przypadło jej to do gustu. Dobrze wiedziałem, jak jest na powierzchni. Społeczeństwo nie było zbyt tolerancyjne, w przeciwieństwie do mieszkańców Podziemia, gdzie widok dwóch całujących się mężczyzn albo dwóch kobiet idących za rękę był zupełnie na miejscu. Podziemie było miejscem na każdą inność, którą potępiano w Ignis.

— Mamo... — wyszeptał błagalnie Alex, nie dając mi się puścić ani odsunąć.

— ...że jestem zadowolona z waszego związku.

Przecież jej tutaj nie było, gdy zostaliśmy parą. Ona ma wszędzie oczy? Wszystko wie?

— W życiu nie chodzi o to, żeby dostosowywać się do wyobrażeń społeczeństwa, tylko o to, żeby być szczęśliwym na swój własny sposób. Ty jesteś, Alex, mimo że niektórzy mogą tego nie zaakceptować. Jesteście inni, tak, ale we dwójkę szczęśliwi i tylko to powinno się liczyć, a nie opinie ludzi wokół.

Uśmiechnęła się, podchodząc bliżej nas, a mnie kamień spadł z serca. Dość duży kamień. Poczulem ogromną ulgę; stres zniknął w ułamku sekundy. Mocniej przytuliłem szatyna znajdującego się między moimi ramionami.

— Alex jest nie tylko pani synem — powiedziałem do ubranej w długą, czarną suknię matki Alexa. Włosy miała jeszcze w nieładzie; długie pasma wystawały z warkocza i sterczały wokół głowy. — Jest też moim skarbem i sensem mojego życia.

Kobieta rozpostarła ramiona i objęła naszą dwójkę. Przyciągnęła mnie i Alexa do serca.

— Witaj w rodzinie, Thanielu. Wiem, że razem jesteście i będziecie szczęśliwi. To widać.

— Jesteśmy — odpowiedział za mnie szatyn. Jego brązowe włosy opadały mi na oczy; położyłem głowę na jego ramieniu, odwróciwszy się tyłem do chłopaka. Objął mnie ramionami i przyciągnął jeszcze bliżej siebie, przez co plecami wtulałem się w twardą od rzeźbiących się mięśni klatkę piersiową.

— I zawsze będziemy — dodałem. — Już ja zadbam o to, żeby Alex był szczęśliwy. Jego szczęście jest moim szczęściem. — Uśmiechnąłem się.

Veronica złapała mnie za dłoń.

— Wytrwałości na nowej drodze życia... — Z jej tonu dało się jednoznacznie wywnioskować, że się nad czymś zastanawia. — ...synu.

W oczach momentalnie stanęły mi łzy. Byłem tak szczęśliwy... Nie dość, że jestem w związku z miłością mojego życia, po pierwszym pocałunku z Alexem, to jeszcze mam nową rodzinę!

Veronica odsunęła się nieznacznie, uśmiechając się do nas.

Łzy spływały po mojej twarzy strumieniami, zatrzymując się na chwilę na podbródku, a potem wędrując dalej po szyi ku koszuli.

Chcąc rozładować jakoś kłębiące się we mnie emocje, podniosłem wysoko Alexa i okręciłem wokół siebie jak baletmistrz swoją partnerkę. Gdy chłopak z powrotem stanął na własnych nogach, złączyłem nasze czoła w wyrazie czułości i troskliwości. Swoje dłonie położyłem na jego plecach, nieco poniżej łopatek. Alex swoje zawiesił na mojej szyi. Jego jasne usta tak blisko moich strasznie kusiły...

Kołysaliśmy się chwilę w rytm uderzeń naszych serc; każde z nich biło dla drugiego, oba grały jednym rytmem.

Matka w tym czasie podeszła do Annith, Zacharego, Helodii i Julii, która wciąż trzymała albinoskę w swoich ramionach. Chłopak wstał, a kobieta natychmiast mocno go przytuliła.

— Miło cię znowu widzieć, ciociu — powiedział z uśmiechem. — Wcale się nie zmieniłaś przez te lata.

— Ty za to się zmieniłeś — odpowiedziała Veronica. — Dorosłeś i zmężniałeś. Jestem z ciebie dumna, bratanku. Bardzo.

Bones przerastał ją o głowę, kobieta więc wtuliła twarz w jego ramię. Szare włosy siedemnastolatka muskały szyję jego ciotki. Kiedyś faktycznie musieli być blisko.

Dwie przyjaciółki odsunęły się od siebie nieco; oczy obu dziewcząt były załzawione. Ciemne włosy dwudziestolatki prawie splatały się z białymi kosmykami Helodii. Wyglądały razem jak uosobienie tęsknoty.

— Tęskniłam, Juliś — powiedziała młodsza drżącym głosem.

— Ja też, Helusiu. Ja też — szepnęła druga.

— Tylko ty możesz tak na mnie mówić — głos Helodii stał się wręcz groteskowo groźny, więc wszyscy w pomieszczeniu, włącznie z „demonicą”, wybuchnęli śmiechem.

— Witaj z powrotem, Julio. — Veronica objęła ją delikatnie. — Ileż to czasu minęło...

— Minęło, minęło, ciociu Vittorio. A teraz musimy zjednoczyć Łowców i nas, ostatki rodziny Bonesów. Inaczej pochłoną nas ciemności.

— A więc... — zaczęła Helodia, ocierając już ostatnie łzy.

— ... pora zapolować na sojuszników — dokończył za nią szarowłosy siedemnastolatek.

~15~

Około dziesiątej całą siódemką wyszliśmy z bloku na ciemne uliczki zachmurzonego miasta. Ja, Helodia, Alex i Zachary — czyli ci z nas, którzy ukończyli szkolenie na Łowcę — mieliśmy na sobie specyficzne mundury zabójców zmor. Ciemnozielone spodnie z kieszeniami były wpuszczone w wysokie oficerki, wiązane mocno tuż pod kolanami, a na szarozieloną bluzkę założona skórzana uprząż do manewru trójwymiarowego. Do niej, jak zresztą do każdego możliwego miejsca, przytroczono zakłete ostrza — główną broń przeciwko zmorom.

Annith miała na sobie granatowe dresy i zieloną koszulkę z rękawem do trzech czwartych ręki. Włosy splotła w dwa ciasne i schludne blond warkocze.

Jej matka ubrała się w luźną bluzę z szerokim rękawem narzuconą na ciemnoczerwony podkoszulek. Prawie białe blond teraz włosy — z czekoladowych zmieniły barwę pod wpływem zaklęcia, które wypowiedziała — rozpuściła i niemal zamiatała nimi ulicę. Na nogach miała ciemnozielone spodnie. Obie założyły sportowe buty przed kostkę.

Julia założyła czarno-szary, kamuflujący kombinezon i ciemnozielone, ubłoczone trapery. Ona i Helodia miały dwa długie kucyki zarzucone na plecy.

Place i ulice wydawały się opustoszałe. Niepokoiło mnie to, nawet bardzo. Nawet ptaki nie śpiewały; jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichy szum wiejącego wiatru. Wszystko zdawało się martwe.

Alex złapał mnie za rękę, szukając otuchy; chciał poczuć kogoś żywego wśród tej martwej ciszy. Ucisnąłem jego dłoń i przyciągnąłem go do siebie.

Będę bronił go za wszelką cenę. Nie pozwolę nikomu go skrzywdzić, choćbym miał uwięzić szatyna w swoich ramionach.

Wyszliśmy na główny plac w centrum Ignis. Potem mieliśmy wejść do Podziemia jednym z częściej używanych przejść, jednak zanim zdążyliśmy się choćby obejrzeć, cała nasza siódemka została otoczona. Wszystkie drogi ucieczki odciął nam pierścień zbliżających się Łowców po naszej prawej stronie i zmor po lewej.

Przycisnąłem Alexa mocniej do siebie. Bałem się o niego; oddychałem szybko. Muszę go obronić. Nie mogę pozwolić go sobie odebrać. Nie teraz, nie kiedy w końcu jesteśmy razem. Nie teraz, gdy jesteśmy tak szczęśliwi!

Przebiegłem wzrokiem po Łowcach. To byli ci najbardziej wpływowi, ale także najbardziej niebezpieczni.

Aż musiałem przetrzeć oczy ze zdziwienia, gdy zauważyłem piętnastolatka, który wyglądał zupełnie jak Alex. Brązowe włosy sterczały lekko, tak samo jak mojemu chłopakowi. Opadały na czoło i zielone oczy. Na jego twarzy był ten sam wyraz, jaki gościł na obliczu Alexa, gdy ten kazał mi iść do łóżka, zamiast pić eliksir. Ściągnięte brwi, tak samo jak lekko rozchylone usta, świadczyły o skupieniu. W dłoniach trzymał dwa zakłete sztylety.

— To... To Arthur — szepnął uwięziony w moich ramionach szatyn. Jego twarz wyrażała zdumienie, ale i ulgę. — On żyje.

— Tak, żyje i chce nas zabić — warknęła Helodia.

— Kim jesteście?! — zakrzyknął stojący na przodzie mężczyzna donośnym głosem. Czarne włosy i oczy jak węgiel jednoznacznie przypominały mi postać Oriona Wolffa. Pociągnąłem Alexa za siebie. Nie mieliśmy z nim zbyt dobrych wspomnień.

Veronica wystąpiła do przodu, a z nią Annith, Julia, Zachary i Alex. Wzrok kobiety nakazał mi puścić szatyna, co uczyniłem z niechęcią.

— Jesteśmy ostatnimi żyjącymi Bonesami — powiedziała tak głośno, żeby było ją słychać. — Chcemy zawrzeć z wami pokój!

Kilku Łowców ruszyło w ich stronę, ale rodzina się nie cofnęła. Inni zbliżyli się również do Helodii, mnie za to nikt nie zauważał.

— Niby po co?! — Orion zdawał się kipieć wściekłością.

— Żeby raz na zawsze pożegnać istnienie zmor. Nawet jeśli sami je pokonacie, to one się odrodzą. — Veronica wciąż mówiła spokojnie. — Zmory istnieją w takiej ilości właśnie ze względu na spór pomiędzy Łowcami i Bonesami!

Helodia została unieruchomiona magią przez otaczających ją Łowców; nie mogła się bronić. Julia, dostrzegając Łowców tuż za plecami dziewczyny, chwyciła ją za dłoń. Odciągnęła ją jak najdalej, choć tym samym sama wpadła prosto w ręce Łowców. Żeby odsunąć przyjaciółkę wystarczająco daleko, musiała zająć jej miejsce. Byli zbyt blisko, nie miała już szans na żadną obronę.

Albinoska, odciągnięta przez dwudziestolatkę, wpadła na Zacharego. Mocno ją złapał, patrząc ze łzami w oczach, jak Łowcy wloką jego obezwładnioną siostrę po kocich łbach ulicy. „Demonica” odzyskała kontrolę nad swoim ciałem; próbowała się wyrwać.

— Puść mnie! To moja przyjaciółka! Muszę jej pomóc!

Zachary patrzył żałośnie na Julię. Dopiero co odzyskał siostrę, a teraz Łowcy tak po prostu mu ją odebrali.

— Helodio... — Głos mu się załamywał, ale mówił dalej. — Julia to moja siostra... Gdyby to cokolwiek dało... Pobiegnę z tobą, przysięgam. Tylko że to nic nie da, Łowczyni. Dobrze o tym wiesz.

Krąg zmor z naszej lewej strony zacieśniał się coraz bardziej.

Alex wycofał się w moją stronę, tym samym zbliżając do poczwary znacznie bardziej, niż powinien.

Słyszałem szepty Łowców na temat ofiary Julii. Zaczęli wychodzić z szeregów.

— Ja dołączę — powiedziała Adrienne Wagner.

Była to kobieta około trzydziestki, jasne włosy w lekko poszarpanych strąkach spływały po obu stronach jej szczupłej, kobiecej sylwetki. Spojrzała na Helodię intensywnie swoimi czekoladowymi oczami. Nic dziwnego, że spojrzała właśnie na nią, Helodia była jej córką. Mała gwiazdka, wytatuowana pod lewym okiem Adrienne, kryła w sobie symboliczne cechy jej właścicielki. **Kobieta** widziała to, czego inni nie widzieli; była wieszczką oraz moją dobrą przyjaciółką.

— Dołączę do was. Ten spór od początku nie miał sensu. — Adrienne podeszła do Veroniki i złapała ją za dłoń. Miałem wrażenie, że ten gest czarodziejki zapoczątkował lawinę kolejnych osób, które pragnęły zgody.

Helodia wciąż usiłowała wyrwać się Zacharemu. Z doskonale widocznym na twarzy bólem unieruchomił ją magią.

— Nie damy rady jej pomóc, Helodio, przykro mi.

Dziewczyna łkała, a Zachary usiłował ją pocieszać. Objął ją ramionami, choć nie dało to nic, oprócz jeszcze większego szloch panny Valentine.

Ktoś wyszedł z tłumu Łowców, którzy teraz stali tylko w jednej uliczce. Niósł na rękach nieprzytomną, dwudziestoletnią dziewczynę. Julię.

Nie dostrzegłem Alexa. Powinno mnie to zaniepokoić, ale byłem zbyt zapatrzony w rozgrywającą się scenę. Zachary natychmiast wypuścił Helodię, uwolniwszy najpierw piętnastolatkę spod działania magii. Podbiegł do siostry i zabrał ją od Łowcy na własne ramiona.

— Dziękuję — powiedział cicho, przytulając siostrę do serca.

Gdy w końcu odwróciłem głowę w stronę Alexa, było już za późno.

Chłopak bronił się ostatkami sił. Zmor było za dużo. Popędziłem do niego, choć wiedziałem, że już nie zdążę mu pomóc tak, żeby nikt nie ucierpiał.

~ Ooon albooo tyyy... ~ usłyszałem nieco stłumione słowa w swoim umyśle. Musiał je wypowiedzieć dzieciolap, będący kiedyś Łowcą z mocą telepatii.

~ Ja ~ odpowiedziałem bez wahania.

Mocno odepchnąłem Alexa w stronę grupy Bonesów; trafił w ramiona Adrienne. Próbował się wyrwać i protestować, ale nie słuchałem go. Nie mogłem, jeśli on miał żyć.

Wiedziałem, że nie pokonam potworów. Zawsze, kiedy walczyłem, realnie szacowałem swoje szanse. Przeciwników było za dużo jak na jednego Łowcę.

Dwie humanoidalne — poruszające się na dwóch kończynach — zmory obezwładniły mnie i chwyciły pod ramiona. Z oczy popłynęły mi dwie łzy, gdy zaczęły mnie wlec po ulicy.

— Alex... Kocham cię — szepnąłem w stronę szatyna, od którego się oddalałem. Zapewne nie dosłyszał moich słów.

Przez moją nieuwagę chłopak, który ma na własność całe moje serce, prawie zginął!

Moje dłonie za plecami zostały opatulone przez kajdany z zestalonej ciemności. Były zimne, piekielnie wręcz zimne; powoli odmrażały mi ręce, jednak nawet nie jęknąłem. Muszę zrobić wszystko, żeby chronić Alexa. Prawie wszystko. Nie mogę dać się zabić. Nie zniosę swojej śmierci. Nie zniosę, bo wtedy umrze i Alex, a na to nie mogę pozwolić.

Nie mogę pozwolić, żeby to serce, tak mocno bijące w jego piersi, gdy się całowaliśmy albo chociażby trzymaliśmy za ręce, żeby to serce, które bije dla mnie, przestało pracować. Nie mogę pozwolić, żeby jego zielone jak szmaragdy oczy zaszły mgłą. Nie mogłem stracić tego serca, którego potrzebowałem do szczęścia; nie mogłem pozwolić, żeby te piękne oczy, zawsze wyrażające miłość i troskę o mnie, gdy ich właściciel kazał mi iść

spać, zamiast pić kolejny eliksir energetyczny, zaczęły matowieć. Żeby utraciły wszystko, co tak kochałem. To ciepło, radość, ufność i miłość. Zawsze ulegałem spojrzeniu Alexa. Chcę ulegać dalej, niech te oczy świecą dla mnie!

Zostałem wtrącony do celi z fizycznej ciemności, która natychmiast pochłonęła moje nadgarstki. Nie próbowałem się szarpać. Miałem jedynie nadzieję, że Alex jest bezpieczny...

Minęły trzy dni, a ja nadal nic nie wymyśliłem. Poznałem tylko powód mojego uwięzienia.

Tylko ja mogłem na dobre zakończyć zaczynającą się dopiero wojnę, a do tego zmory nie mogły dopuścić — to byłby ich koniec, raz na zawsze. Dziwiło mnie jedynie, że mnie nie zabiły, ale nie zamierzałem na to narzekać. Wciąż wierzyłem, że to wszystko dobrze się skończy.

Siedziałem beczynnie i mogłem jedynie myśleć o Alexandrze Morninstarze, żeby nie oszaleć.

Nie szarpałem się; już wcześniej się przekonałem, że nie warto. Klatka pochłonięła wtedy całe moje ręce aż do barków. Już nie dawałem rady. Nienawidziłem bezsilności. Chociaż... z dwojga złego wolałem być bezsilny niż walczyć, mając świadomość, że zabijam tym Alexa. Wszystko bym wolał niż to.

Wojna jest coraz bliżej, a ja nic nie mogę zrobić! Powiniennem teraz pomagać przyjaciołom! Powiniennem teraz chronić Alexa! A co robię? Dałem się złapać jak jakiś idiota! I teraz siedzę tu, zamiast pomagać im zażegnać ten spór!

Niedaleko pilnujących mnie ośmiu zmor, w zaułku, pojawił się jakiś cień na ścianie budynku. Po chwili pomiędzy prętami mego więzienia dostrzegłem osobę, do której należał. To na pewno był człowiek, może nawet Łowca. Postać przystanęła i przyklęknęła, przyglądając się klatce, w której byłem uwięziony, i pilnującym mnie zmorom. Jej oczy błyszczały w ciemności intensywną zielenią. W dłoni postaci coś lśniło srebrzystym blaskiem. Było długie, wąskie i lekko zakrzywione. Żaden metal tak nie skrzył w ciemności.

Żaden oprócz zakłętej stali ostrz Łowców.

Wtedy mnie olśniło. Przecież ja znam te oczy...

Postać bezszelestnie, powoli się zbliżała. Patrzyłem ufnie na jej poczynania. Znałem i pamiętałem każdy odcień plamek w jej oczach.

Ciemność przy mojej twarzy zaczęła się rozpraszać, coś ją rozjaśniało. Zostały tylko nieliczne ciemniejsze plamy, układające się w zdanie „zamknij oczy”. Wiedziałem, od kogo pochodzi polecenie; wykonałem je posłusznie.

Nawet przez powieki dostrzegłem rozbłysk bardzo intensywnego światła. Poczułem słaby powiew wiatru na plecach. Wyczułem, że kajdany zniknęły, tak samo jak kraty z ciemności, a ja opadam na posadzkę. Jednak nie doszło do bliskiego spotkania mojej potylicy z ulicą. Podtrzymała mnie czyjaś silna dłoń. Nie wiem jakim cudem, ale rozpoznałem ten dotyk.

Alex. Mój mały Alex.

Chłopak pomógł mi podnieść się do siadu. Oślepiające światło zdecydowanie straciło na swojej sile. Gdy zniknęło całkowicie, otworzyłem oczy i zamrugałem. Mój wzrok w ciemności natrafił na zielone tęczówki, widziałem każdą jaśniejszą plamkę w nich dokładnie, tak jak jeszcze przed kilkoma minutami we własnym umyśle. Wokół nas nie dostrzegłem żadnej zmory, jedynie ich popioły na ulicy. Alex objął mnie mocno i podciągnął na nogi.

— Thaniel... Ja bez ciebie oszaleję — wyszeptał. — Całe trzy dni moje myśli zajmowałaś tylko ty. Tylko ciebie widziałem.

— To zupełnie tak jak ja. — Pozwoliłem mu uwieźć mnie w klatce jego ramion. Szczerze mówiąc, nie chciałem się wydostać z tej niewoli. — Tylko myśli o tobie pozwoliły mi nie zwariować.

Szatyn zarumienił się. Żołądek skręcił mi się z głodu, co Alex chyba usłyszał, bo podał mi dość duże pudełko, po czym wziął mnie na ręce niczym księżniczkę. Pomimo zamknięcia moje nozdrza uderzył smakowity zapach czekolady.

— Jedz, Thany. — Czule musnął nosem mój policzek.

— Thany? — zapytałem, otwierając śniadaniówkę.

Zajrzałem do środka. Była w niej naprawdę spora porcja brązowej papki i mała łyżka. Chwyciłem element zastawy w dłoń.

— Nigdy nie myślałeś nad zdrobnieniem do twojego imienia? — Nosem dotknął mojej szyi.

— Nie, ale to akurat mi się podoba. Szczególnie słyszane z twoich ust. — Zacząłem powoli jeść, choć apetyt miałem niezmierny. Wiedziałem, że nie mogę połykać za szybko.

Powoli spożywałem niezachęcająco wyglądającą, ale pyszną papkę o konsystencji budyniu. Alex niósł mnie ulicami wcześniej tętniącego życiem, a teraz ponurego Ignis. Na niebie nad miastem wisiały czarne chmury. Chmury zwiastujące wojnę i deszcz.

Kiedy zjadłem wszystko i odłożyłem łyżeczkę, pozwoliłem swoim mięśniom się rozluźnić. Przez to wisiałem bezwładnie na rękach mojego chłopaka.

Nawet nie zauważyłem, kiedy zapadłem w sen, wymęczony prawie trzema dobowi bez odpoczynku. Ostatnim, co poczułem przed odpłynięciem w krainę Morfeusza, był delikatny pocałunek w czoło.

Obudziłem się, opatulony kokonem koców i kołder w pokoju Alexa, który zdążyłem już zapamiętać. Leżałem na zastraszająco wysokiej wieży z poduszek. Spadłbym z niej, gdyby ręka, głaszcząca mnie wcześniej po policzku, nie zsunęła się na moje plecy.

— Słodkiutko wyglądasz, Thanielku. — Pochylający się nade mną szatyn pstryknął mnie w nos.

— Aleksiu...

— Tak? — Zaczął się bawić moimi włosami.

— Będziesz łaskaw uwolnić mnie z tych kołder? Oplatają mnie jak macki topielca.

Czule złączył nasze czoła i przymknął oczy. Jakimś sposobem włożył dłonie pod kołdry i sunął nimi po moim ciele, ściągając ze mnie kokon.

— Kocham cię — szepnął, a jego usta muskały przy tym moje.

Wpatrywałem się w jego oczy, tak lśniące i tajemnicze. Tak przepełnione miłością. Zawsze troskliwe i pełne dobra. Jak sam ich właściciel. Podniosłem dłoń i pogłaskałem go po policzku.

— Ja ciebie też. — odszepnąłem.

Alex pochylił się mocniej, a nasze wargi ostrożnie kosztowały siebie nawzajem. Chłopak przełożył swoją rękę na moją szyję. Zanurzyłem dłoń w jego brązowych kosmykach, przeplatałem je sobie między palcami. Były tak miękkie jak przed kilkoma dniami. A jego oczy... Ach... Mógłbym utonąć w tych szmaragdowych tęczęwkach. Każda jaśniejsza plamka w nich byłaby dla mnie tlenem niezbędnym do życia w odmętach jego spojrzenia.

Znów zatraciłem się w jego ciepłych i miękkich, malinowych wargach i delikatnym dotyku palców na mojej skórze. Odnalazłem jego dłoń i splotłem nasze palce.

— Nie przeszkadzam wam, gołąbeczki? — warknęła Helodia, którą dopiero teraz zauważyłem w drzwiach. Jej kucyki były poplątane, a ubrania pogniecione. Czyli dopiero wstała. — Stoję tu od pięciu minut!

W końcu oderwaliśmy się od siebie.

— Naprawdę? — Alex swobodnie usiadł na swoim łóżku, stojącym pośród czerwonych i czekoladowobrązowych ścian. Przestał bać się panny Valentine? Nie sądziłem, że tego dożyję.

— Trochę przeszkadzasz. — Uśmiechnąłem się do białowłosej.

— Przypominam, że mamy wojnę! — Piętnastolatka rzuciła w moją stronę mundurem Łowcy. Złapałem go w locie, chwiejąc się niebezpiecznie na poduszkowej wieży. — Masz dziesięć minut na ogarnięcie się! Potem i ciebie, i Morningstara chcę widzieć gotowych w naszych szeregach!

— Dobrze, dobrze, nie denerwuj się tak. Zaraz będziemy. — Zacząłem podnosić się z łóżka Alexa. Z ubraniami i uprzężą w dłoni ruszyłem do łazienki.

~17~

Po szybkim prysznicu naciągnąłem na siebie mundur i zapiąłem sprzączki upręży do manewru trójwymiarowego. Przeczesałem lekko wilgotne włosy ręką i wyszedłem z pomieszczenia.

Wychodząc z łazienki, prawie zderzyłem się z przechodzącym nieopodal Alexem. On, tak jak ja, miał na sobie mundur Łowcy, a dodatkowo pomiędzy skórzanymi paskami upręży zamocował zakłętę ostrza. Podał mi kilka.

Kiedy on tak dorósł? Już nie przypomina tego siedemnastolatka, którym był rok temu. Przyjąłem broń z wdzięcznością i kiwnąłem chłopakowi głową. Skierowałem się do przedpokoju w domu szatyna.

Przyklęknałem, wsunawszy stopy w wojskowe buty, do których włożyłem po dwa ostrza. Mocno zawiązałem sznurówki. Kilka zakłętych sztyletów włożyłem też pomiędzy inne elementy ubioru. Gdy uniosłem głowę, zobaczyłem uśmiechającego się pocieszająco szatyna.

— Przeżyjemy, Alex. Zobaczysz, jeszcze wszystko będzie dobrze. — Będzie. Musi. Nie wyobrażam sobie innej drogi. Po prostu nie.

Chłopak zamrugał szybko, odpędzając łzy.

— Powodzenia na łowach, Thanielu — szepnął lekko drżącym głosem. — Wróc do mnie. Kocham cię. — Przytulił mnie lekko na pożegnanie.

— Ja też cię kocham. Bardziej niż cokolwiek, co istnieje na tym świecie. Powodzenia na łowach, Aleksiu. — Wyplątałem się z jego objęć, choć z niechęcią. Mógłbym wtulać się w niego całymi dniami i wciąż byłoby mi mało. Ruszyłem po schodach w dół klatki. W dłoni trzymałem zakłętą sztylet.

Gdy doszedłem na parter, lekko pchnąłem drzwi. Wyszedłem przez nie, a na mój widok stojący w uporządkowanych szeregach Łowcy utworzyli pomiędzy sobą przejście do pierwszej linii. Stało tam ledwie kilkoro ludzi. Ruszyłem pomiędzy Łowcami. W pierwszych szeregach dostrzegłem tę czwórkę, która razem ze mną, Alexem i Annith zapoczątkowała rewolucję — zgodę między Bonesami i organizacją Łowców. Wszyscy, stojący na przedzie — Helodia, Zachary, Julia i Veronica, a właściwie już Vittoria Bones — mieli na sobie dopasowane, ale niekrepujące ruchów mundury Łowców. Gestem zaprosili mnie, żebym wyszedł przed nich.

— To ty byłeś napędem do tego, co właśnie się stało, Thanielu. Do zjednoczenia Łowców i rodu Bonesów — przemówiła matka Alexa, odrzucając jasnoblond warkocze na plecy. Oczy osadzone w pociągłej twarzy zabłyszczały.

— Dziękuję. To jednak nie tylko moja zasługa.

Stanałem na przedzie teraz już piątki wojowników — Alex biegł tuż za mną. Stanął między Vittorią i Helodią, osłaniając moje plecy. Przy piętnastolatce, oprócz Alexa, znalazła się również Julia, a ze strony Vittorii był to Zachary. Annith nie było nigdzie widać. Lepiej dla niej, jest jeszcze zbyt młoda na wojnę.

Na horyzoncie dostrzegłem zmory, każdy możliwy gatunek. Od dacholazów, przez topielce, do dzieciolapów i błędnych ogników. Wzdrygnąłem się na pierwsze wspomnienie z

tym ostatnim. To przez jedną ze zmor tego gatunku na moim brzuchu widnieją te ciemne, wklęsłe Znaki, których tak nie lubię. Potrząsnąłem głową.

Na samo wspomnienie tego, co przeszedłem przez tę zmorę, przeszły mnie ciarki, a dłonie stały się mokre. Noże zaczęły wyslizgiwać mi się z rąk, więc chwyciłem je mocniej.

Wielokrotnie próbowałem pokonać strach przed błędnymi ognikami, ale wszystkie próby kończyły się tak samo. Zmory przybierały postać Alexa, a ja... ja nie potrafiłem go skrzywdzić. Nie potrafiłem wbić mu ostrza w brzuch, chociaż miałem świadomość, że jeśli ja nie zabiję jego, to on zabije mnie. To właśnie tak mnie przerażało. To, że musiałem skrzywdzić ukochaną osobę. To, że w walce mogę skrzywdzić prawdziwego jego, a nie zmorę.

Muszę się skupić, inaczej zawiodę. Nie mogę zawieść. Nie mogę zawieść Alexa. Zbyt wiele przecież przeszliśmy, tyle razem przeżyliśmy... Nie mogę go zawieść i pozwolić mu umrzeć. Jeśli ja umrę, on umrze. Nie może umrzeć. Moje światełko ukryte w jego oczach i sercu nie może zgasnąć! Moja mała poranna Gwiazdka nie może spaść z mojego prywatnego nieba!

Wziąłem głęboki wdech i wyciągnąłem z buta drugie krótkie ostrze, a następnie ustawiłem w pozycji bojowej, czekając na atak.

Zmory, zupełnie się nie spiesząc, ruszyły w naszą stronę. Przed oczami zaczęły mi migać obrazy wykrwawiającego się Alexa, którego nie zdążyłem uratować... Jego oczy zaczęły zachodzić mgłą...

NIE! Thaniel, skup się! Nic nie działasz, zatracając się w tym, co szepcze ci umysł!

Potrząsnąłem głową, już po raz kolejny. Poczułem dłoń zaciskającą się na mojej. Rozpoznałem ten dotyk, tak dodający mi otuchy w godzinie próby.

Alex.

Spojrzałem w tył; chłopak mocno zaciskał palce na rękojeści sztyletu.

— Jeśli nie dasz rady sam... To damy radę razem. — W jego spojrzeniu pełno było miłości i troski. — Już nigdy nie będziesz sam. Już nigdy nie będziesz walczył samotnie.

Chwyciłem ostrze mocniej, splatając nasze palce.

— Nigdy. — Odwróciłem wzrok od jego twarzy i spojrzałem przed siebie.

Zmory znajdowały się dziesięć metrów przed nami. Bałem się okropnie, ale starałem się ukryć te uczucia gdzieś w głębi swojej świadomości.

Wyciągnąłem sztylet przed siebie i mocno zacisnąłem na nim palce.

W moją stronę zmierzał Alex, ale w jego tęczówkach już nie było miłości, którą zawsze w nich widziałem. Nogi zmiękły pode mną, a wzrok stawał się nieobecny. Nie umiałem skrzywdzić szatyna, choć wiedziałem, że może mnie to kosztować życie.

Poczułem szybki i płytki oddech na mojej szyi i palce zaciskające się mocniej na broni w mojej dłoni. Zmora zaczęła na mnie szarżować, a ja nie mogłem nic zrobić.

— Zabij ją — usłyszałem szept Alexa. Jego głos i pewny dotyk dodały mi sił.

Nagle poczwara pod postacią szatyna zatrzymała się tuż przede mną. Wyjęła ze swojego munduru zakłętę ostrze i przystawiła pod swoją szyję.

— Zabij się. — Głos zmory był dokładnym odzwierciedleniem głosu Alexa, delikatny, miękki, a jednocześnie stanowczy. — Albo ja się zabiję! — W jego oczach dostrzegłem szaleństwo, a do moich napłynęły łzy.

— Alex... Alex, nie rób tego — próbowałem go przekonać. Logiczne myślenie dawno znikło.

Poczułem mocniejszy ucisk na mojej dłoni; stojący przede mną szatyn przycisnął broń do swojej szyi, po której w konsekwencji spłynęła strużka krwi.

Nie mógłbym sobie wybaczyć śmierci Alexa... Moja dłoń bezwiednie powędrowała ostrzem sztyletu w moje serce. A raczej chciała. Inne dłonie trzymały ją w miejscu.

— Ani mi się waż, Thaniel! — Głos, który zawsze napawał mnie poczuciem szczęścia i wewnętrznego ciepła, dobiegający zza moich pleców, był poddenerwowany, ale przepełniony troską, którą tak kochałem w jego właścicielu. Alex. On zawsze był dla mnie światłem. — To jest tylko złudzenie. To błędny ogień, Thany... Ja stoję za tobą.

Chłopak stojący tuż przede mną jeszcze bardziej przycisnął nóż do swojej skóry, a cała jego szyja natychmiast zalala się krwią.

Drugi Alex, ten za mną, siłą powstrzymywał mnie od wciśnięcia sztyletu w moje serce, by ogień pod postacią najważniejszego dla mnie człowieka i Łowcy się nie zabił.

— Thaniel! Thanielku, wysłuchaj mnie! To zmora, nie ja! — Czyjaś dłoń przekreśliła moją; czubek ostrza celował teraz w serce zielonookiego, który już prawie dotarł sztyletem do swojej tętnicy.

Postać stojąca za mną z zaskoczenia wcisnęła ostrze prosto w serce zmory, dokładnie między żebra. Ta straciła kształt mojego ukochanego, po czym z głośnym wrzaskiem spłonęła błękitnym ogniem. Jedyne co po niej pozostało, to zakłętę ostrze, które opadło z brzękiem na chodnik u moich stóp.

Upadłem na kolana. Zbliżały się kolejne zmory, a ja tylko trząsałem się po stracie, jak mi się wydawało, osoby, którą kochałem nad życie.

— A-a-alex... — mamrotałem. Ktoś klęknął obok. — N-nie dałem rady... cię o-obro-nić...

— Thaniel... — Znów usłyszałem jego głos. Alex... On żyje. — Jestem tu... przy tobie, Thanielku. — Otarł łzy, obficie spływające po moich policzkach. — Nie masz racji. Obroniłeś mnie. To była tylko zmora. Zabiłaby nas obu, gdyby nie ty.

Jego głos, te słowa z jego ust i dotyk — z sekundy na sekundę podnosiły siłę wzbierającą we mnie.

— A-alex... — szepnąłem. Przyciągnąłem go mocno do siebie, nie pytając o zgodę, co zwykle robiłem. Teraz po prostu musiałem go poczuć przy sobie. Poczuć, że żyje. Że jest tutaj, przy mnie. — N-nie opuszczaj mnie...

— Nie opuszczę. — Wstał i pomógł mi to zrobić. Ponownie złapał moją dłoń, splatając nasze palce, zaciśnięte na sztylecie. W lewej trzymał dłuższe ostrze. Ja w prawej

ręce miałem taką samą dłoń, jak w lewej, tej, za którą trzymał Alex. — Przeżyjemy. Będziemy walczyć i przeżyjemy. Razem.

Zacisnąłem palce na rękojeściach.

Powietrze przeszły przeraźliwy skrzek krukoszy — zmor, które z wyglądu przypominały wielkie ptaki. Ogromne, pierzaste skrzydła, jak i całe ptasie ciało, były czarne jak noc, a oczy przypominały fioletowe paciorki. Długie szyje i masywne dzioby pozwalały na dużą swobodę ruchów przy szarpaniu ofiary. Ich wrzask był tak przeraźliwy, że od samego jego dźwięku można było oszaleć; prawie fizycznie rozrywał serce i duszę, zostawiając ludzi na ostatku wytrzymałości.

Z szeregu Łowców, stojących za mną i Alexem, wyleciała strzała, która trafiła skrzeczącego krukosza w oko, uśmiercając go w ułamku sekundy. Oczy tych stworów były bardzo wrażliwe, wystarczyłaby pojedyncza igielka wbita w to miejsce, a krukosz już nigdy więcej by się nie poruszył. Ciało poczwary zważyło się ciężko z gałęzi wysokiej brzozy, paląc się czarnym ogniem w locie. Na ulicę opadł tylko popiół.

W tym momencie rozpętało się prawdziwe piekło na Ziemi...

Wszystkie zmyry uderzyły naraz, prawie łamiąc szyki Łowców. Z szeregów wyleciały liczne strzały o zaklętych grotach; większość docierała do celów i kładła kres życiom potworów.

Na mnie i szatyna zaczęła szarżować smuga — zmyra o wyglądzie czarnej galarety z małymi, paciorkowatymi czerwonymi oczami i grubymi, niechwytnymi na pierwszy rzut oka rękami. To wszystko sprawiało wrażenie ociężałości, jednak ta zmyra wcale taka nie była. Smugi były zwinne, szybkie i niebezpieczne, mimo mało przerażającej nazwy.

Alex zaatakował w jednej chwili ze mną. Przez ten moment miałem wrażenie, że jesteśmy jednością, działaliśmy jakby zsynchronizowani — kiedy on dźgał, ja wyciągałem sztylet z ciała zmyry i na odwrót. Niedługo smuga leżała martwa u naszych stóp, a my ruszyliśmy dalej.

Kroiliśmy, siekaliśmy i pozbawialiśmy życia istoty zrodzone z ciemności i klótni, sami nabawiając się kilku, niektórych poważnych, niektórych mniej, ran. Właściwie tylko ja, bo to ja wystawiałem się na każdy cios, każdy przyjmowałem na siebie, stanowiąc żywą tarczę dla zielonookiego Morningstara.

Miałem wrażenie, że koszulka na moich plecach była rozerwana do połowy, ale nie miałem czasu, by to sprawdzić; zbyt wiele zmyr się wokół nas stłoczyło. Zresztą to i tak była koszulka do polowania, wzmocniona Znakami i magią. Po ramieniu spłynęła mi struga krwi. Alex już chciał coś zrobić, ale pociągnąłem go na ziemię i wbiłem sztylet w brzuch zmyry, szarżującej na jego plecy, ratując go przed pazurami i szczękami potwora. Stwór rozpadł się na kawałki.

— Nie ma czasu, Alex — szepnąłem, pomagając mu wstać.

Od razu musiałem zasztyletować kolejną zmyrę, a w naszą stronę wciąż napływały kolejne.

Już powoli traciłem siły... ale wtedy... wtedy miałem przed oczami uśmiech Alexa, który nie pozwolił mi się poddać. Musiałem walczyć. Musiałem przeżyć. Dla niego, dla mojego Aleksia, żeby znów zobaczyć ciepło i miłość w jego oczach.

Z niewielkimi trudnościami trafiałem w wyuczone czułe punkty każdego znanego gatunku zmyr, podobnie Alex. Potwory albo zwałały się z łoskotem na ulicę, albo paliły się ogniem w każdym możliwym kolorze. Krzyczały okropnie, hałas byłby nie do zniesienia, gdyby było się tylko biernym obserwatorem wydarzeń.

Alex i ja walczyliśmy ramię w ramię. Robiłem wszystko, żeby oszczędzić szatynowi ran. Wkłęśte Znaki na brzuchu z każdą zabitą zmyrą piekły mnie coraz bardziej, ale ignorowałem to. Musiałem pozbyć się każdej poczwary. Nie mogłem dopuścić do tego, by któraś skrzywdziła Alexa.

Ze strony Alexa usłyszałem głos Annith.

— Alex! Pomóż! — Dziewczynka miała poszarpane ubranka, a jej głos był piskliwy i dziwnie zwielokrotniony. W jej stronę zmierzał dzieciolap.

Chłopak puścił moją dłoń i wyciągnął z buta krótkie ostrze, które chwycił tą ręką, którą wcześniej trzymał na mojej. Pobiegł na pomoc siostrze. Tylko coś mi tu nie pasowało...

Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo otoczyły mnie trzy zmary. Dźgałem czułe miejsca, ale powoli już nie dawałem rady. Jedna poczwara leżała przede mną wyczerpana, ale wciąż niemartwa. Przez tę samotną potyczkę nabawiłem się kolejnych, w większości poważnych, ran.

Przez linię otaczających mnie stworów przedarła się jasnowłosa Łowczyni.

— Adrienne! — krzyknąłem. — Nie powinno cię tu być! Jesteś uzdrowicielką, a nie wojowniczką!

Kobieta, wbrew moim wrzaskom, wyciągnęła ostrze i zadźgała jedną z dwóch wciąż zagrażających mi, a teraz także Adrienne, zmor.

— Nie jestem, ale jestem twoją przyjaciółką, a ty potrzebujesz pomocy! — powiedziała uparcie, dobijając prawie martwą już zmorę.

Tej ostatniej, która stanowiła bezpośrednie zagrożenie dla mnie i wieszczki, wbiłem sztylet w brzuch. Nie zdążyłem się wycofać; pazury bestii rozorały bok mojej szyi, ale na szczęście dość płytko. Sekundę później spłonęła krwistoczerwonym płomieniem. Podniosłem sztylet.

Te kilka sekund kosztowało Adrienne życie. Usłyszałem tylko ostatni krzyk rozrywanej na strzępy przez przyczajonego wcześniej niedaleko szarpeca wieszczki.

Chciałem jej pomóc, ale... było już za późno. Moja przyjaciółka już nie żyła, a jej krew plamiła czarną kostkę ulicy. W jednej chwili odebrałem życie potworowi, który uśmiercił uzdrowicielkę.

Miałem ochotę skulić się na ziemi i płakać, ale nie miałem na to czasu. Może jestem w stanie chociaż uratować innych...

Chwileczkę... Alex!

Popędziłem do niego, przedzierając się przez zasy martwych ciał, zarówno Łowców, jak i zmor oraz popiołów tych drugich.

Gdy byłem kilka metrów od szatyna, dostrzegłem, że jego siostra wyciągała do niego rękę. Tylko one... migotały czernią.

O nie...

— Alex!

Jedyne, co mogłem zrobić, to rzucić się na Alexa, zwalając go z nóg. Błędny ognik, którego ofiarą prawie padł mój ukochany, rozszarpał mi bark.

Krzyknąłem z bólu. Krew opuszczała moje ciało zdecydowanie zbyt szybko; wypływała z każdej rany.

Dostrzegłem, że zielonooki, którego tak kochałem, zabił błędnego ognika, który spłonął tym razem czarnofioletowym ogniem. Wokół nie było już ani jednej zmary; ta najwyraźniej była ostatnia.

Alex upadł na kolana tuż obok mnie. Usiłował tamować mój krwotok. Ściągnął koszulkę i podał ją na pasy. Z desperackim pośpiechem obwiązał nimi mój bark jak bandażami, ale krew przesiąkała przez materiał.

— Wygraliśmy... Wygraliśmy... — mamrotałem.

— Tak, Thanielu. Wygraliśmy... ale za jaką cenę...?

Obraz zaczął mi się zamazywać przed oczami, a powieki nagle stały się zatrważająco ciężkie; oddech krótki, wciąż brakowało mi powietrza. Z mięśni nagle jakby uleciała cała siła.

Nie miałem jej dość, żeby się nawet podnieść.

— Złap mnie za rękę — poprosiłem ledwo słyszalnym szeptem.

Alex chwycił ją i gładził delikatnie. Zebrałem resztki sił i zacisnąłem palce na dłoni mojego chłopaka.

Z trudem użyłem magii i zerwałem połączenie pomiędzy naszymi duszami. Wiedziałem, że dla mnie nie ma już ratunku. Niech... niech przynajmniej on żyje.

— Alex...

— Tak, Thanielu? — Szatyn przeniósł spojrzenie załzawionych oczu na moją twarz. Słone krople z jego podbródka kapały na moje policzki.

— Alex... żyj. Proszę. Nawet jeśli... Ja umrę... — Zdania wypływające z moich ust były krótkie i urywane. Nie starczało mi już oddechu. W każdej chwili mogłem umrzeć, każde słowo mogło być tym naprawdę ostatnim. — Proszę... Bądź szczęśliwy... Dla mnie... Kocham cię.

Zamknąłem oczy, by już nigdy więcej ich nie otworzyć.

Gasłem. Życie opuszczało moje ciało szybko, zabierając duszę ze sobą z tego świata.

— Thaniel... Thaniel, nie umieraj! — Łzy rozpaczy Alexa kapały na moją twarz. On sam w tej chwili był ucieleśnieniem smutku i cierpienia. — Thaniel... proszę, nie umieraj... Kocham cię...

To było ostatnie zdanie, jakie usłyszałem. Lecz dzięki niemu z uśmiechem na ustach odszedłem. To była dla mnie najśłodsza ze śmierci.

Umarłem, chroniąc osobę, którą kochałem nad własne życie...

EPILOG

„Chcę być przy tobie, Aleksiu... Będę zawsze, gdy o to poprosisz...”

Choć proszę, Ty nie przychodzisz. Wciąż wierzę, że jesteś przy mnie, że wciąż mnie chronisz i tylko to trzyma mnie przy zmysłach. Tylko to pozwala nie oszaleć z tęsknoty.

Placzę co noc, ale nie potrafię zapomnieć. Nie chcę zapomnieć. Chcę pamiętać Cię takiego, jakiego znałem... Jakiego kochałem... Jakiego wciąż Kocham...

Tego, który... Który ofiarował się za mnie. Trzykrotnie to zrobiłeś, Thanielu, a za trzecim razem przyplącałeś to życiem.

Mogłem odskoczyć...

Nie patrzyłbym, jak umierałeś...

Obraz Twojego płonącego ciała nie nawiedzałby mnie każdej nocy...

Nie odwiedzałbym cmentarza Łowców codziennie przez ostatni rok.

Twoja... Twoja śmierć była tylko i wyłącznie moją winą...

Wygraliśmy, ale... Teraz na Twoim grobie leżą i schną dziesiątki, jeśli nie setki róż. Kiedyś zabrałeś mnie na Powierzchnię, pamiętasz? Pokazywałem Ci wszystkie kwiaty na łąkach i polach, lasach... Najpiękniejsze dla Ciebie były właśnie róże. Teraz, zamiast w wazonie, leżą na Twoim grobie i schną. Są błękitne jak Twoje oczy, błyszczące złotem jak Twoje włosy i czerwone... jak Twoja krew. Jak krew, która opuściła Twoje zbyt młode ciało zbyt szybko.

Sam usycham od środka, dokładnie jak te kwiaty. Chciałbym znów poczuć Twoją dłoń na swoim policzku... Ale już nigdy nie poczuję. Po Twoim ciele pozostał popiół.

Prosiłeś, żebym był szczęśliwy... ale bez Ciebie nie potrafię.

Zatracam się w wirze pracy, pomocy ludziom... ale gdy to się kończy, znów cierpię, wtulając twarz w poduszkę.

Tylko że... to powinno być Twoje ramię...

Alexander Morningstar

Dziewiętnastoletni szatyn o zielonych, wymęczonych łzami oczach drżącą dłonią zamknął i schował notes, ten sam, w którym niegdyś pisał Thaniel Fox, pod poduszkę.

Alexander — teraz już nie używał zdrobnienia i nikomu nie pozwalał tego robić — objął własnoręcznie zrobionego ze zszytych ubrań mężczyzny, tak dla niego ważnego, wypchanego watą manekina. Odzienie pachniało swoim dawnym właścicielem pomimo całego roku, który upłynął. Ten pluszak był jedynym, co pozostało Alexandrowi po jego chłopaku oprócz notesu, który znalazł w kwaterze Foxa.

Morningstar przyciągnął fałszywego Thaniela do siebie i objął mocno nogami i rękami.

Nawet nie liczył, który to raz jego łzy moczyły materiał miękkiego ciała lalki.

Nie wiedział, ile jeszcze razy to zrobi, zanim zapomni... bo przecież nigdy by się z tym nie pogodził...

Ale Alexander nie zapomni.

Nigdy nie zapomni o tej jedynej osobie, którą pokochał prawdziwie.

*Drogi Czytelniku,
ta wersja rozdziału osiemnastego
i epilogu była wyłącznie dodatkiem.*

Nie przedłużając, zapraszam na właściwą wersję.

~18~

Wszystkie zmory uderzyły naraz, prawie łamiąc szyki Łowców. Z szeregów wyleciały liczne strzały o zaklętych grotach; większość docierała do celów i kładła kres życiom potworów.

Na mnie i szatyna zaczęła szarżować smuga — zmora o wyglądzie czarnej galarety z małymi, paciorkowatymi czerwonymi oczami i grubymi, niechwytnymi na pierwszy rzut oka rękami. To wszystko sprawiało wrażenie ociężałości, jednak ta zmora wcale taka nie była. Smugi były zwinne, szybkie i niebezpieczne, mimo mało przerażającej nazwy.

Alex zaatakował w jednej chwili ze mną. Przez ten moment miałem wrażenie, że jesteśmy jednością, działaliśmy jakby zsynchronizowani — kiedy on dźgał, ja wyciągałem sztylet z ciała zmory i na odwrót. Niedługo smuga leżała martwa u naszych stóp, a my ruszyliśmy dalej.

Kroiliśmy, siekaliśmy i pozbawialiśmy życia istoty zrodzone z ciemności i kłótni, sami nabawiając się kilku, niektórych poważnych, niektórych mniej, ran. Właściwie tylko ja, bo to ja wystawiałem się na każdy cios, każdy przyjmowałem na siebie, stanowiąc żywą tarczę dla zielonookiego Morningstara.

Miałem wrażenie, że koszulka na moich plecach była rozerwana do połowy, ale nie miałem czasu, by to sprawdzić; zbyt wiele zmor się wokół nas stłoczyło. Zresztą to i tak była koszulka do polowania, wzmocniona Znakami i magią. Po ramieniu spłynęła mi struga krwi. Alex już chciał coś zrobić, ale pociągnąłem go na ziemię i wbiłem sztylet w brzuch zmory, szarżującej na jego plecy, ratując go przed pazurami i szczękami potwora. Stwór rozpadł się na kawałki.

— Nie ma czasu, Alex — szepnąłem, pomagając mu wstać.

Od razu musiałem zasztyletować kolejną zmorę, a w naszą stronę wciąż napływały kolejne.

Już powoli traciłem siły... ale wtedy... wtedy miałem przed oczami uśmiech Alexa, który nie pozwolił mi się poddać. Musiałem walczyć. Musiałem przeżyć. Dla niego, dla mojego Aleksia, żeby znów zobaczyć ciepło i miłość w jego oczach.

Z niewielkimi trudnościami trafiałem w wyuczone czułe punkty każdego znanego gatunku zmor, podobnie Alex. Potwory albo zwały się z łoskotem na ulicę, albo paliły się ogniem w każdym możliwym kolorze. Krzyczały okropnie, hałas byłby nie do zniesienia, gdyby było się tylko biernym obserwatorem wydarzeń.

Alex i ja walczyliśmy ramię w ramię. Robiłem wszystko, żeby oszczędzić szatynowi ran. Wkłęśłe Znaki na brzuchu z każdą zabitą zmorą piekły mnie coraz bardziej, ale

ignorowałem to. Musiałem pozbyć się każdej poczwary. Nie mogłem dopuścić do tego, by któraś skrzywdziła Alexa.

Ze strony Alexa usłyszałem głos Annith.

— Alex! Pomóż! — Dziewczynka miała poszarpane ubranka, a jej głos był piskliwy i dziwnie zwielokrotniony. W jej stronę zmierzał dzieciolap.

Chłopak puścił moją dłoń i wyciągnął z buta krótkie ostrze, które chwycił tą ręką, którą wcześniej trzymał na mojej. Pobiegł na pomoc siostrze. Tylko coś mi tu nie pasowało...

Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo otoczyły mnie trzy zmor. Dźgałem czułe miejsca, ale powoli już nie dawałem rady. Jedna poczwara leżała przede mną wyczerpana, ale wciąż niemartwa. Przez tę samotną potyczkę nabawiłem się kolejnych, w większości poważnych, ran.

Przez linię otaczających mnie stworów przedarła się jasnowłosa Łowczyni.

— Adrienne! — krzyknąłem. — Nie powinno cię tu być! Jesteś uzdrowicielką, a nie wojowniczką!

Kobieta, wbrew moim wrzaskom, wyciągnęła ostrze i zadźgała jedną z dwóch wciąż zagrażających mi, a teraz także Adrienne, zmor.

— Nie jestem, ale jestem twoją przyjaciółką, a ty potrzebujesz pomocy! — powiedziała uparcie, dobijając prawie martwą już zmorę.

Tej ostatniej, która stanowiła bezpośrednie zagrożenie dla mnie i wieszczki, wbiłem sztylet w brzuch. Nie zdążyłem się wycofać; pazury bestii rozorały bok mojej szyi, ale na szczęście dość płytko. Sekundę później spłonęła krwistoczerwonym płomieniem. Podniosłem sztylet.

Te kilka sekund kosztowało Adrienne życie. Usłyszałem tylko ostatni krzyk rozgrywanej na strzępy przez przyczajonego wcześniej niedaleko szarpeca wieszczki.

Chciałem jej pomóc, ale... było już za późno. Moja przyjaciółka już nie żyła, a jej krew plamiła czarną kostkę ulicy. W jednej chwili odebrałem życie potworowi, który uśmiercił uzdrowicielkę.

Miałem ochotę skulić się na ziemi i płakać, ale nie miałem na to czasu. Może jestem w stanie chociaż uratować innych...

Chwileczkę... Alex!

Popędziłem do niego, przedzierając się przez zasy martwych ciał, zarówno Łowców, jak i zmor oraz popiołów tych drugich.

Gdy byłem kilka metrów od szatyna, dostrzegłem, że jego siostra wyciągała do niego rękę. Tylko one... migotały czernią.

O nie...

— Alex!

Jedyne, co mogłem zrobić, to rzucić się na Alexa, zwalając go z nóg. Błędny ogień, którego ofiarą prawie padł mój ukochany, rozszarpał mi bark.

Krzyknąłem z bólu. Krew opuszczała moje ciało zdecydowanie zbyt szybko; wypływała z każdej rany.

Dostrzegłem, że zielonooki, którego tak kochałem, zabił błędnego ognika, który spłonął tym razem czarnofioletowym ogniem. Wokół nie było już ani jednej zmory; ta najwyraźniej była ostatnia.

Alex upadł na kolana tuż obok mnie. Usiłował tamować mój krwotok. Ściągnął koszulkę i podarł ją na pasy. Z desperackim pośpiechem obwiązał nimi mój bark jak bandażami, ale krew przesiąkała przez materiał.

— Wygraliśmy... Wygraliśmy... — mamrotałem.

— Tak, Thanielu. Wygraliśmy... ale za jaką cenę...?

Obraz zaczął mi się zamazywać przed oczami, a powieki nagle stały się zatrwającą ciężkie; oddech krótki, wciąż brakowało mi powietrza. Z mięśni nagle jakby uleciała cała siła. Nie miałem jej dość, żeby się nawet podnieść.

— Złap mnie za rękę — poprosiłem ledwo słyszalnym szeptem. Alex chwycił ją i gładził delikatnie. Zebrałem resztki sił i zacisnąłem palce na dłoni mojego chłopaka. — Zapomnij o mnie. Wypłacz się, ale zapomnij.

— Nie zapomnę, Thanielu. Będę płakał za tobą każdej nocy, jeśli umrzesz, i nic tego nie zmieni. Nigdy sobie tego nie wybaczę, jeżeli pozwolę ci teraz umrzeć. Kocham cię, Thaniel! Stałeś się podstawą mojego życia! — mówił ze łzami w oczach. Widziałem w nich doskonale miłość i strach o mnie. O moje życie.

Nadal próbował tamować krwotok z mojego barku, ale to niewiele dało; krew wciąż wypływała z moich ran. Miałem wrażenie, że coraz mniej życia we mnie zostało.

Przecież nie mogę się poddać! Muszę żyć! Muszę żyć dla Alexa! Potrzebuje mnie! Ja potrzebuję jego! Nie mogę tak po prostu umrzeć! Nie teraz!

Z każdym oddechem było mi trudniej utrzymać przytomność, ale wiedziałem, że jeśli zamknę oczy, to już ich nie otworzę. Alex musi dać radę. Musi dać radę mnie uratować, zanim zgaśnie ostatni płomień życia w moim ciele i duszy.

W akcie desperacji położył dłonie na moim sercu i przycisnął swoje wargi do moich siniejących ust.

Jego łzy, które widziałem z tak bliska, błyszczą teraz zielenią oczu Alexa.

Usta chłopaka były miękkie... Dawały ukojenie skołatanej duszy. Odesłały ból na dalszy plan. Teraz liczył się tylko Alex i jego pocałunek. Umysł rozjaśniał się, a serce zwolniło swój rytm, więc i mniej krwi wypływało z ran.

Po chwili dotarło do mnie, co robił Alex. On... oddawał mi życie. Bładł, tracił kolory, ale wciąż ofiarowywał mi więcej. Z moich oczu mimowolnie wypływały łzy, a wraz z nimi to, co pozbawiało mnie sił, opuszczało moje ciało.

Krew wracała do tętnic i żył, a rany się zasklepiały. Oddech stał się głębszy, pewniejszy; słuch wyostriżył się, słyszałem każde uderzenie serca Alexa i swojego, które powoli przyspieszało do normalnego tempa pracy. Coraz lepiej widziałem zielone tęczówki chłopaka, za którego dałbym się pokroić. Odruchowo mocniej zacisnąłem palce na dłoni

szatyna; wyczuwałem w nich każdą bruzdę i wzniesienie — blizny, jakie zostały mu po torturach. Gładziłem je czule, wciąż mocno trzymając jego ręce.

Dopiero gdy Morningstar miał pewność, że nic już nie grozi mojemu życiu, odczepił się ode mnie. Pomógł mi wstać, po czym przytulił mnie mocno.

— Nie waż mi się umierać, Thaniel — szepnął wprost do mojego ucha.

— Nigdzie się bez ciebie nie wybieram. A zwłaszcza na tamten świat — odpowiedziałem. Chłopak złączył nasze czoła.

Na moje plecy wskoczył jakiś mały zwierzączek. Po chwili wszedł mi na głowę, a jego biały ogon z czarną końcówką zwisał mi koło nosa. Wtedy odetchnąłem z ulgą w duchu, wcześniej nie wiedziałem, czy to jednak nie zmora. Chociaż... gdyby to stworzenie był potworem i ja, i Alex leżelibyśmy martwi, o ile cokolwiek by z nas pozostało.

Alex zaśmiał się i wyciągnął ręce do istotki. Kocię, a może lisiątko, które mogło mieć około trzech miesięcy, wskoczyło mu na ramiona i oparło się łapkami o jego pierś.

Na niebie zaczęły się pojawiać się pierwsze gwiazdy. Niebo całkiem się roz pogodziło, po szarych chmurach nie było nawet śladu. Księżyc w pełni oświetlał Ignis swoim blaskiem. Dostrzegłem, że z popiołów zmor powstają świetliste kobiece postacie, nie przyglądałem się im jednak.

— Jak go nazwiemy? — zapytał Aleks. Mój Aleks. Jego głos był dla mnie najpiękniejszą melodią świata. — Przypomina białego liska. — Przyjrzał się dokładniej pyszczkowi istotki. — Wokół oczu i na końcówkach uszu i ogona ma ciemniejsze futerko, a i chyba nas polubił.

Alex wyciągnął rękę spod ciała zwierzątka i chciał je pogłaskać. Lisek jednak zaczął ocierać się pyszczkiem o jego dłoń.

— Co powiesz na Starfox? — Odgarnąłem brązowe włosy za ucho mojego chłopaka. — Gwiazdny lis?

Lis w ramionach Alexa polizał mój palec w wyrazie zgody.

— Będzie idealne.

Objąłem chłopaka w pasie. Oboje spojrzeliśmy na rozgwieżdżony nieboskłon. Po raz pierwszy od kilkunastu ostatnich dni poczułem ogarniający mnie spokój. Jakby już zawsze miało tak zostać. Tylko ja i Alex, no i nasz lisek pośród cichego śpiewu nocnych ptaków i tego pięknego, rozgwieżdżonego nieba. Powietrze pachniało lasem. Jakby właśnie przeszedł życiodajny deszcz. Chciałem, żeby tak było już zawsze. Pogłaskałem mojego chłopaka po policzku.

— Zawsze chciałeś zobaczyć gwiazdy, Aleksiu. Teraz je widzisz.

— Z tobą.

Odsunął się kawałek, po czym wtulił się we mnie plecami. Objąłem go obiema rękami od tyłu. Osiemnastolatek położył głowę na moim ramieniu i spojrzął mi w oczy.

— Nigdy mnie nie opuszczaj — szepnął.

Nie chciałem i nie zamierzałem. Wiedziałem, że nigdy nie opuszczę tego mężczyzny, bo Alexander Morningstar był i jest dla mnie całym światem.

EPILOG

Wszystko się zmienia... Ostatnio na lepsze.

Moje szczęście siedzi obok mnie i patrzy na to, co piszę. Jego brązowa czupryna i zielone oczka są wręcz cudowne!

Właśnie wyrwałem pióro blondynowi, a on tylko się zaśmiał i mnie przytulił. Thaniel położył swoją dłoń na moich palcach, trzymających pióro.

Teraz będziemy pisać razem, Aleks.

Thaniel... Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że żyjemy.

Ja też, Aleksiu, ja też. Kocham cię.

O czym to mieliśmy napisać w tym twoim notatniku?

O, właśnie!

Więc...

Nie zaczyna się zdania od „więc”, Thaniel!

Eh... Aleksiu mój Ty... Teraz mi nie przeszkadzaj.

Dokładnie rok temu zakończyła się era zmor. Niestety, podczas walki zginęło wielu Łowców, w tym nasi przyjaciele, osoby, które znałem. Alex długo nie mógł się pogodzić ze stratą ojca i dwóch braci, a ja i Helodia do dziś wspominamy Adrienne. Znowu. Wieszcza jest już drugą osobą, która oddała swoje życie za moje.

Łowcy, którzy nie są już potrzebni do obrony mieszkańców przed potworami, pomagają teraz ludności Ignis, używając swoich umiejętności. Szkolą również nowych, ale już nie w podziemiach, a na powierzchni; jeśli zmory wrócą, nowe pokolenie Łowców będzie wiedziało, jak stawić im czoło.

Otóż to! A jeśli o ciebie chodzi, Thaniel, to masz się wysypiać!

Przy tobie zawsze, Alex.

Razem będziemy pomagać ludziom w Ignis.

Tak, razem.

Już zawsze razem.

Spojrzałem na łóżko, chwyciwszy Alexa jak księżniczkę. Lisek leżący na dużym, dwuosobowym łóżku w mojej... a właściwie już naszej, bo mojej i Alexa, kwaterze, wygiął się w łuk i przeciągnął. Otworzył pyszczek i wykonał coś na wzór ziewnięcia, wstając i jeżąc się z zimna, po czym ponownie zwinął się w kłębek na pościeli, ugniótłszy ją łapami.

Położyłem ubranego już w piżamę Alexa na pościel i sam po chwili do niego dołączyłem. Objąłem go w pasie i przyciągnąłem do siebie. Chłopak poczochnął moje jasne włosy i wsunął w nie nos.

— Kocham cię, Aleks — szepnąłem, wtulając się w niego. — Cokolwiek by się nie stało, przeżyjemy.

— Razem. — Alex zaczął mówić ze mną, nasze głosy zlały się w jeden. — Przeżyjemy i będziemy szczęśliwi.

Nasze usta odnalazły się i kosztowały nienachalnie przez kilka chwil.

— Dobranoc, Thanielku. Kocham cię. — Szatyn położył mi dłoń na plecach, przyciągając do siebie. Nasze serca biły spokojnym, równym rytmem, a jedno pracowało dla drugiego.

Jak co wieczór przez ostatni rok zasnąłem z uśmiechem na ustach — w ramionach osoby, która mnie kochała. W ramionach młodego mężczyzny, którego kocham nad życie.

KONIEC